

wojciech siemion - wielki miłośnik folkloru



Siemion podawał teksty ludowe - jak „weselny zapiewajło, dziad odpustowy, karczemny gawędziarz”; po prostu jak chłop

Aktor, miłośnik folkloru, znawca kultury ludowej - tak oto uwieczniony został w „Pieśni o jednym Wojciechu Siemionie”:

*Sześciu porządnych było i przykładnych,
Trosk rodzicielom nie sprawiali żadnych,
Jeden się tylko Siemion nie wdał w ojce
Imieniem Wojciech.*

*Gdy za krowami dzieckiem chadzał jeszcze,
Już mu w tej głowie mieszały trzej wieszczce,
On deklamuje „Do młodości ode”,
A krowy w szkodę.*

Wojciech Siemion pasał krowy na ziemi lubelskiej, w Krzczonowie, gdzie urodził się w roku 1928. Jego ojciec był wiejskim nauczycielem, a mały Wojtek urządził w stodole czytania wierszy. Słowo poetyckie otaczało go z różnych stron: „We wsi był teatr, który dzisiaj nazwano by ludowym, poza tym, na co dzień śpiewano pieśni. Moja babcia też śpiewała”. Wspominał muzykantów z sąsiedztwa: „Pamiętam doskonale i Józka, co grał na trąbce, i Józka Krzysiaka, który prowadził pięknie melodię na skrzypcach, i Mietka Robaka, znakomitego bębniście”. A gdy myślał o rodzinnej wsi, to, jak mówił, „natychmiast wyświetla mi się z fotograficzną dokładnością nasz stary dom rodzinny, i stawy przy tym domu, i dziadkowa łądz, którą wyływaliśmy na połów, i bardzo piękne stare drzewa, o których wiem, że ich już tam nie ma, ale są w mojej wyobraźni”.

Droga z Krzczonowa wiodła Wojciecha Siemiona przez teatr kaliski, studia na KUL-u, szkołę teatralną w Warszawie, wojaże ze słowem poetyckim po kraju i za granicą, do ostatniego miejsca na ziemi - wsi Petrykozy na ziemi mazowieckiej, gdzie aktor stworzył Wiejską Galerię Sztuki. Odrestaurował tam zrujnowany dworek i zamieszkał w nim, czyniąc z tego miejsca jednocześnie dom rodzinny, pracownię, dom kultury, salon wystawowy, galerię, muzeum, skansen, salę koncertową i teatralną, a wśród licznych gości byli malarze, rzeźbiarze, muzycy, aktorzy... Po ponad trzydziestu latach Wiejska Galeria Sztuki w Petrykozach pozostała bez swego twórcy i kustosa - w roku 2010 Wojciech Siemion zmarł.

Poezja była najbardziej ukochaną przez Siemiona dziedziną sztuki i był on mistrzem recytacji, ale także aktorem teatralnym i filmowym, reżyserem, scenarzystą, pisarzem, znawcą sztuki, wieloletnim wykładowcą warszawskiej PWST, założycielem i dyrektorem Teatru Stara Prochownia w Warszawie. Pracował w teatrach warszawskich, ale też w Szczecinie i Wrocławiu, a także w kabarecie „Pod Egidą”. Wybitne role

stworzył w monodramach, jak „Zdrada” czy „Mironczarnia”. Wystąpił w około stu filmach, a za swoją pracę artystyczną otrzymał szereg odznaczeń, jak Krzyż Komandorski Orderu Odrodzenia Polski, medal Gloria Artis czy nagrodę Ministra Kultury i Sztuki - „za wybitne osiągnięcia aktorskie, a zwłaszcza popularyzowanie poezji ludowej”.

Słowo ludowe to osnowa przedstawienia „Wieża malowana” - już od premiery w roku 1959 nazywana wielkim wydarzeniem, wręcz „kamieniem milowym w przedstawianiu nieprzemijających wartości kultury polskiej wsi”. Był to też spektakl, który dał początek wspaniałemu rozwojowi monodramu - tego teatru jednego aktora. Wojciech Siemion przedstawiał na scenie historię miłości Jasia i Kasi, reprezentowanych przez pałuby, kukły słomiane. Siemion wcielał się głosem w te postaci, mówił monologi i dialogi, śpiewał długie ballady, krótsze pieśni i króciuteńkie przyśpiewki, a także wygłaszał przewrotne komentarze „na boku”. Na scenie był sam tylko, jeden aktor, a publiczność widziała całą historię miłości dwojga młodych, wiejskiego chłopaka i dziewczyny - najpierw szczęśliwie zwieńczoną weselem, potem tragicznie zniszczoną wojną, śmiercią, a na koniec roznieconą raz jeszcze wizją przetrwania po wsze czasy. Siemion stworzył „poruszające prostotą formy widowisko o doli i niedoli chłopskiego losu. O prawdach starych jak świat: ciężkiej pracy, wiernej miłości, śmierci i nagrodzie czekającej w niebie”. Świat ten opowiedziany został autentycznymi tekstami ludowymi, z których powstała „Wieża malowana”. Wojciech Siemion, osłuchany od dzieciństwa z „pięknościami poetyckimi” ze swoich rodzinnych stron, wspólnie z Ernestem Bryllem, także zafascynowanym „pieśnią gminną”, napisał scenariusz „Wieży...”, tych, jak sam to określił, „dwóch godzin ludowego piękna”.

Po kilku latach Wojciech Siemion znów wypełnił sam jeden scenę słowem ludowym - w monodramie „Wowro”. Był to spektakl oparty na tekstach świątkarza beskidzkiego, Jędrzeja Wowry. Siemion to opowiadał barwnie o weselu, to wygłaszał płomienne kazanie, to, zamyślony, w mistyczny niemalże sposób prezentował opowiadki o świętych Pańskich. Aktor wygłaszał teksty nie tylko na scenie, ale i przemawiał wprost do widzów, wchodził między rzędy i wybierając pojedynczego partnera, mówił wprost do niego, a cała sala, wsłuchana, widziała niemalże, jak Wojciech Siemion odmalowuje słowem ludowym portret Jędrzeja Wowry, „analfabety i geniusza zarazem”.

Ukochawszy poezję, miał Siemion możliwość osobistego poznania wielu wybitnych poetów: Leopolda Staffa, Juliana Tuwima, Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego, Kazimierza Wierzyńskiego, Zbigniewa Herberta, Tadeusza Różewicza... Jak sam mówił, „bardzo wielu poetów przeszło po raz pierwszy w dźwięk przez moją gębę, to - to jest mój wielki dług zaciągnięty u poetów - czarodziejów mowy”. Dług ten spłacał wybitny aktor nie tylko recytując wiersze, nie tylko tworząc teatr Stara Prochownia, ale i wydając książki w cyklu „Lekcja czytania” - o Białoszewskim, o Mickiewiczu, o Norwidzie... I oto wśród tych potęg słowa poetyckiego - wiersze ludowe, pieśni i przyśpiewki ludowe, które Wojciech Siemion umieścił na piedestale prawdziwej sztuki. U niego bowiem „poezja ludowa jest autentyczna, wzięta ze starych przekazów i nowych zapisów, ale poddana nowej wrażliwości. Przez wybór, przez układ, przez formę podania. Jest rwana i gwałtownie kontrastowana, od liryki wprost w sprośności, od zalecanek i pieśni chmielowych po przedmiejską groteskową balladę”. Siemion tak właśnie podawał teksty ludowe - jak „weselny zapiewajko, dziad odpustowy, karczemny gawędziarz”; po prostu jak chłop.

Jak chłop również znakomicie spełniał się Wojciech Siemion w rolach teatralnych czy, zwłaszcza, filmowych. Charakterystyczna twarz aktora, z „kopiastą strzechą włosów barwy

stłomy” oraz jego głos, „o twardym, po chłopsku stanowczym akcentowaniu, choć zarazem o szczerym, ujmującym brzmieniu”, od razu wyrażały jego wiejskość. Określany był jako czołowy odtwórca ról wiejskich, jako kwintesencja słowiańskości, jako znakomity wyraziciel chłopskiej prząsności. W oczach wielu widzów został obraz aktora w „ubrani”, czyli garniturze, w białej koszuli, z przewiązaną u szyi czarną wstążeczką. Siemion recytujący poezję, Siemion przyśpiewujący i przytupujący, Siemion żartobliwy, Siemion zamyślony... Znakomity aktor, bardzo charakterystyczny i wyrazisty, ceniony, a także wzbudzający sympatię jako człowiek otwarty wobec ludzi, bezpośredni i skromny. Jak wspominali ci, którzy mogli oglądać go na żywo: „Wystarczyło, aby wszedł do sali, w której się zebraliśmy, aby wszystkie szmery i jeszcze podniesione głosy ucichły. Kiedy stanął przed nami, doznałam uczucia, że ja tego pana już znam, że myśmy się już gdzieś spotkali”.

Poezja to było życie Wojciecha Siemiona, to cały jego świat. Recytowanie wierszy, słuchanie wierszy, odgrywanie wierszy, mówienie o wierszach, pisanie o wierszach... A gdyby nie było poezji? Na pytanie „Co by się stało, gdyby nagle okazało się, że słowo jest nieważne, że nie ma aktorstwa?”, ten mistrz słowa odpowiedział właśnie tak: „myślę sobie, że oddałbym swoje ręce ziemi. To jest coś pięknego, kiedy ziemię pięścisz, to możesz z góry wiedzieć, co ona ci da. Wrzucisz ziarno pszenicy i nie wyrosnie ci kłkol, tylko wyrosnie pszenica. (...) Ziemia jest najpewniejsza w owocach. Posadzisz jabłonek, wiesz, jesteś pewny, że na tym drzewku wyrosną po prostu jabłka... Nie cytryny, nie bluszcz, tylko jabłka. Ziemia jest najpewniejsza, bo jeżeli masz pewność, to masz wszystko. Malarze kochają malować skibę, poeci kochają zapisać ziemię. Reymont też zapisał śmierć Boryny, ale właśnie to nie jest śmierć, tylko pisarz wrzucił go w ziemię, i to znaczy, że coś wyrosnie. Bo gdy weźmiesz garść ziemi, a ona nie jest gliniasta, tylko piaskowa... lekko czarna... to tak, jakbyś pisał wiersze... Dlatego wiersz należy porównać z czarną ziemią. Rzucisz słowo i z tego słowa wyrasta tyle piękna. Z jednego słowa wyrasta - jeżeli zadbasz o to - tyle piękności i to, co jest najważniejsze, wystarczy go dla wszystkich”.

Ziemia, wieś i ziarno - jak Siemion podkreślał, „moje chłopskie pochodzenie nigdy nie było dla mnie powodem do wstydu”. Wręcz przeciwnie - aktor był zawsze człowiekiem ze wsi, także już jako artysta dużej miary, a jego umiłowanie poezji dało mu ponownie w niej miejsce, w strofach Kazimierza Wierzyńskiego:

„Siemiony”

*Siemiony z piasku z pszenicy
Z Lublina
Jeśli Polska ma skórę to waszą
Jeśli włosy to wasze
Jeśli oczy to wasze
Jeśli wasze to moje*

(...)
*Siemiony siemienne
Siemiony nasienne
Ziemie nieziemskie
I nie anielskie*

*Pszenice i włosy
Oczy i słowa
Usta na piasku
Polskie lubelskie
To ja.*

Jolanta Betkowska, Słupsk

spotkanie we wrzeźnicy przy mogile jana wanagi i na cmentarzu w bruszkowie



„Leciał przez życie jak kometa /J nie zauważył, a tu już meta.” 29 czerwca br., w czwartek na małym cmentarzu we Wrzeźnicy przy mogiłce chłopskiego poety Jana Wanagi, spotkali się z jego rodziną przyjaciele z grupy „Wtorkowe Spotkania Literackie”

Dzień był pochmurny, wietrzny i zimny. Nie było oficjalnych przemówień. Kilka wspomnień Zbigniewa Babiarsz-Zycha ze Starostwa Powiatowego w Słupsku skierowanych do rodziny i zebranych było przypomnieniem sylwetki chłopskiego poety i jego twórczego temperamentu.

Jan Wanago był urodzonym gawędziarzem; dowcipnym, czasem rubasznym, w dobrym znaczeniu tego słowa. To autentyczny chłopski samorodny talent, sól ziemi. Pisał wiersze, nie bacząc na literackie mody i kierunki, pisał, co dyktowało chłopskie serce i rozsądek.

Lubił spotkania z ludźmi. Syn Bolesław wspomina, że korzystał z każdego zaproszenia. Wtedy wyznaczał obowiązki gospodarskie rodzinie. - Wy zróbcie, co powiedziałem. Ja jadę!

Kiedyś pisząc o jego tomiku wierszy pt. „Środkowo-Pomorsko-Wileński” ze wstępem i w wyborze Jerzego Fryckowskiego zwróciłam uwagę na pełne prawdy uczuć, humoru i autorefleksji utwory, które typem lirycznego bohatera przywołują postać Colas Breugnon Romain Rollanda, ciepłego, emanującego radością życia i autorefleksją człowieka. U Wanagi receptą na szczęście jest pogoda ducha, wszystko jest sprawą oglądu sytuacji, ludzi, rzeczy. Sposobem na udane życie jest dobroduszość, żart, śmiech. Trochę w nim kpiarza, nieco filozofa. Wewnętrzna harmonia wynika z przeświadczenia, że świat w swojej naturze jest dobry. A dobro trzeba dostrzec, by być dobrym.

Poeci „Wtorkowych Spotkań Literackich” czytali fraszki Jana Wanagi i własne wiersze poświęcone Mistrzowi. Grzegorz Chwieduk ze Słupska zaśpiewał przy własnym gitarowym akompaniamencie przygotowaną na tę okoliczność balladę. Andrzej Szczepanik z Bytowa przeczytał piękny liryk napisany tuż po śmierci Jana. Z pamięci wiersze dla kolegi

zastużonych dla ekologii i ochrony środowiska. W tym roku w czerwcu planowane jest spotkanie z rodziną Jana Wanagi, ponieważ nie było nikogo z bliskich poety przy przytwierdzeniu jego tabliczki. Uczestniczący w spotkaniu na cmentarzu we Wrzeźnicy - żona, córka, synowie i wnuczka poety ze wzruszeniem przyjmowali słowa uznania i szacunku. Na nagrobku Jana Wanagi jako epitafium znajdzie się jego fraszka, zapewniają Bliscy.



Prowadzący to „spotkanie z Janem” Z. Babiarsz-Zych zwrócił się do zmarłego poety tymi słowami: „Panie Janie, królu poetów, królu poezji chłopskiej na ziemi stawieńskiej, słupskiej, pomorskiej! Bardziej stawieński, słupski, wileński, Twój koledzy, poeci ze Słupska nie zapomnieli o Tobie! Przyjechali na Twój grób: Kościeński, Prusiński, Zimnicka, Gagiew, Maraśkiewicz, Michalak, Przemek Gac, jest Andrzej Szczepanik z Bytowa, Pani Gańska i są inni. Przyjechali Twój przyjaciele - poeci z Krajowego Bractwa Literackiego w Koszalinie. Jest z nami też Maria Jońca z Dębicy Kaszubskiej. Pamiętaj ją, bo przecież byłeś u niej na odświeżeniu tablicy poświęconej

- poety recytowała Emilia Zimnicka z Izbicy. Zygmunt Prusiński przypomniał wspólne biesiady, Elżbieta Gagiew z Darłowa opowiadała o spotkaniach Jana Wanagi z mieszkańcami Darłowa, podczas których, wszedłszy na scenę, potrafił bawić publiczność nawet dwie godziny, sypać jak z rękawa fraszkami i anegdotami. Z tego powodu Ekologiczny Klub Obywatelski „Czuwanie” z Darłowa w 2013 roku uhonorował poetę pamiątkową tabliczką na skale - Pomniku Ekologów. Pomnik ma formę obelisku - granitowego głazu narzutowego posadowionego na Skwerze Ekologów w czerwcu 2005 roku. Do niego przytwierdza się tabliczki z nazwiskami ludzi

Jan Wanago - fraszki ekologiczne z tomu „Środkowo-Pomorsko-Wileński

Kocham las, zwierzynę
w swych wierszach opiewam,
Jałowcówką też nie gardzę,
za kołnierz nie wylewam.

Kochane zwierzęta
- takie hasło wznosi
A na swoich plecach
karakuły nosi.

Na pewno morze nasze
bardziej by czyste było
Gdyby tyle dup
się w nim nie moczyło.

Życie powstało ponoć
z morskiej piany
Dlatego się nie dziwię,
że są wśród nas bałwany.

Najpiękniejsze zwierzę na
leśnej polanie,

Ale nigdy broń Boże
wypchane na ścianie.

Trzy piękności świata jak
legenda niesie,
Oj! Balzaku nie byłeś
pewnie nigdy w lesie.

Na romantyzm - mrówki,
na lenistwo - bat,
Na podłą teściową - ponoć
żmii jad,
Na kaca - klina,
na miłość - dziewczyna,
A co na smutek, przygnębienie
i nastroj ponury,
Proszę korzystać z lasu - na
łono natury.

Wiersze Jana Wanagi
dostępne na stronie:

[www.powiat.slupsk.pl/236,
tworczosc.html](http://www.powiat.slupsk.pl/236,tworczosc.html)

jej synowi - Markowi Jończy. Tyle cmentarzy obszedłeś z nami w powiecie słupskim, na których kłanialiśmy się nisko pomorskim twórcom, dziękowaliśmy im słowem za to co zrobili dla ziemi pomorskiej, kim byli. Jako pierwszy zawsze stawiałeś u krzyża i przypominałeś odwieczną chłopską prawdę, że „kto się urodził, kiedyś umrzeć musi!” I w końcu dopadła ona Ciebie. Panie Janie! Dzisiaj przyjechaliśmy na Twój grób, by nisko pokłonić Ci się słowem, wierszem, dać należne poetyckie uszanowanie i dowód, że pamiętamy, że ważne było co robiłeś, jak pisałeś. Byłeś naszym przewodnikiem po poezji chłopskiej - tej najprostszej, szczerzej, prawdziwej, wrażliwej, docierającej do każdego. Byłeś niekwestionowanym, liderem naszej Grupy, wielokrotnie dawałeś tego dowód na różnych imprezach i spotkaniach. Byłeś jednym z ostatnich autentycznych poetów na Pomorzu, prawdziwym poetą chłopskim, człowiekiem od pług, który ukochał w szczególności sposób słowo pisane. Takiego Ciebie pamiętamy!”

Krajowe Bractwo Literackie na swoich stronach internetowych przedstawia sylwetkę i twórczość Jana Wanagi (<http://bractwo.blog.pl/kat,579578,index.html>).

Zmienił się świat, ale do wierszy Wanagi jak do źródła warto sięgać po proste prawdy podane z humorem, bez pouczania i moralizowania. Jego wiersze to przepis, jak w pędzie ku nowemu nie zaprzepścić urody życia, jak korzystać z przysłowiowego chłopskiego rozumu w wyborze spraw ważnych.

Czesława Długoszek, Objazda

Po tym spotkaniu poeci prosto z Wrześnicy pojechali do Bierkowa, gdzie odbyło się uroczyste przybycie na rodzinnym domu tablicy poświęconej znanej z dużej aktywności społecznej i ogromnego serca do kultury działaczce lutowej

i animatorce kultury, śp. Kazimierze Gołofit, zmarłej w styczniu ub. roku. Poza tym, że wspierała zawsze ruch ludowy na ziemi słupskiej, na wielu zebraniach walczyła o sprawy chłopskie, działała w kółkach rolniczych, Kole Gospodyń Wiejskich, wychowała trzy dorosłe córki, które do dziś śpiewają w założonym przez nią w 1985 roku znanym i cenionym zespole „Bierkowianki”. Sprawiała, że śpiewa w nim jeszcze także jej synowa. Mimo wielu obowiązków i ograniczeń, pozostała zawsze normalną kobietą - ciepłą, otwartą, z dystansem do siebie i świata. Była m.in. inicjatorką przebudowy Szkoły Podstawowej w Bierkowie z halą sportową i świetlicą wiejską. Za swoją społeczną aktywność otrzymała honorowy tytuł „Zasłużony dla Gminy Słupsk”, wcześniej - „Zasłużony dla Województwa Słupskiego” i „Zasłużona dla rolnictwa”. Została odznaczona Kawalerskim Krzyżem Odrodzenia Polski, Brązowym, Srebrnym i Złotym Krzyżem Zasługi.

W Bruszkowie Wielkim na cmentarzu, na którym spoczywa K. Gołofit poeci wiejscy dedykowali zmarłej swoje wiersze. W przedmowie Z. Babiarczyk-Zych powiedział: „Pani Kazimiero! Przyjechaliśmy, by pochylić się nisko nad Twoim grobem, złożyć na nim kwiaty i podziękować Ci słowem i wierszem za Twój trud, niełatwe, ale bardzo aktywne i pracowite życie. Żyłaś nie tylko dla siebie, swoich najbliższych, ale także dla innych! Przyszliśmy po-



dziękować Ci, Pani Kazimiero za Twoją aktywność społeczną, za Twoje ogromne serce dla kultury, dla pomorskiej wsi i jej mieszkańców. Dzień jest majowy, pełen zieleni, ale chłodny. My mamy jednak gorące serca dla Ciebie!” (Z)

wiersze dla jana i kazimierzy

Zygmunt Jan Prusiński, Ustka

NIE JEST ŁATWO PISAĆ WIERSZ DLA CIEBIE

Pamięci Jana Wanagi

Minął czas - zawsze mija,
tylko tobie się zatrzymał - kiedyś
i nam wszystkim się zatrzyma,
prawda Janie?

Przyszliśmy do ciebie w czwartek
pozdrowić liryką - może usłyszysz,
poszczególne wiersze poetów.

Powiem ci szczerze,
nie ma z kim wypić kielicha -
tak nam dobrze to wychodziło
byliśmy bratnimi duszami,
poezja potrzebuje takich oryginałów.

Więc stoję dzisiaj nad twym grobem
wspominam poszczególne fragmenty,
które zostaną w pamięci
i w tym wierszu majowym.

Dziękuję ci, poeto za tamte chwile,
które porosły ogrodami ciszy...

27.5.2014 - Ustka, Wtorek 11:02

CZWARTEK Z DESZCZOWYM NIEBEM

Otwieram okiennice
mewy niczym na targu - jak to mówią
krzyku mew nie zagłuszyś,
to dobrzy rodzice - akurat następne pokolenie
w gniazdach,
ludzie powinni brać przykład z mew...
obserwuję ich opiekuńczość.

Jadę przywitać poetów
i tych żyjących - i tych którzy z nieba spoglądają,
czy jest takie miejsce - chodź Ewo
na pograniczu dwu światów
jest linia papilarnych znaków -
przeczytam wiersz o życiu, chyba moim,
znam szczegóły za płótkami ogrodowych
drzew.

Wybielę drogę aniołów
usłyszysz na pewno mój głos na wietrze,
struna mi pękła od gitary
jak mogę zagrać trudny melodii o miłości
skądinąd szturchają mnie kaczeńce,
jakbym im przeszkadzał wchłaniać ciszę -
więc płynięcie w swej poezji bezkresnej...
otulcie moje słowa w wierszach.

Wrześnica koło Sławna
tam pochowany Jan Wanago -
był niezłym gawędziarzem, a jakim
biesiadnikiem
kiedy wołała nas wódeczka - stara
towarzyszka,

była trochę psotna jak na nasz wiek
potrafiła nas kochać, to wiem na pewno,
klóciła się z nami niczym krytyk
choć jej nie słuchaliśmy, bo i po co?

Chodziłeś z tym kijem jak apostoł
i zawsze uśmiechnięty dla nieba.

29.5.2014 - Ustka, Czwartek 7:39

DWÓCH JANÓW

Elegia mi pozostała
by zapisać kartkę na niebie.

Rozczytasz ją później -
tylko to wszystko się łoży,
i czas i diament o człowieku
i pojedyncze drzewa na drodze.

Bałamutny to schemat -
bo tak nie wypada
by żartowniś pisał do żartownisia,
poszedłeś schodami do Boga
- możesz się na mnie poskarżyć?

Ale są wodospady i doliny
i ta ziemia którą uprawiałeś.

Świstały zabawne lotem w dół
polskie skowronki na polach.

Ech Janie, Janie, satyryku
do własnego cienia -
ulotniłeś się jak ta gwiazda
w zamęcie słów żywych.

Dwóch Janów z Pomorza,
i ta zachęta - więc piszę tę elegię
do Księgi Wspomnień...

25.1.2013 - Ustka, Piątek 10:41

Anna Boguszewska, Słupsk

JANOWI WANAGO

Mistrzu!
Poeta to Anioł prawdy.
Niesione wiatrem poezji
Twoje myśli i słowa
wprawiają w zadumę.

Ich moc
dla potomnych
niesie przesłanie
„usłyszeć czas
zrozumieć go”.

Twoja gwiazda świeci jasno.

Czesława Długoszek, Objazda

CHŁOPSKI POETA

rosły mężczyzna
chłop co się zowie

taki był

ręce skrojone do pługa
i do pióra
oboma władał zamaszycie

i tak szedł
dzień za dniem
poety
wileńsko-środkowo-pomorskiego
Jana Wanagi

a kiedy się przechyliło życie
w stronę wieczności
pozostały wiersze
tkane ostem
złotym zbożem
kochaniem

i nasza pamięć

nic więcej
Mistrzu Janie

Zygmunt Jan Prusiński, Ustka

KAZIMIERA GOŁOFIT

Kobieta sołtys - kobieta w sukience
ileż troski ukrywała by jej wieś Bierkowo
niczym skowronki i jaskółki rozśpiewane
pomogły przetrwać chude lata.

I zostawiła po sobie to co umiała
pogodzić - funkcję z kulturą ludową -
to zacyt sposób na życie ludzi wsi
potrafiła nikogo nie skłócać.

Taki anielski człowiek latami działał
ku wzniosłym celom i pod wiatr
acz nie zmarmował dnia i godziny -
kobieta sołtys - kobieta w sukience.

Taką cię zapamięta twoja wieś!

29.5.2014 - Ustka, Czwartek 9:37

BIERKOWIANKI

Pamięci Kazimierzy Gołofit

Na chwilę musiałaś zejść z drogi
jest taka droga która się kończy,
a za nią modlitewny zasiew żywych
i trochę niespokojnych -
przynasz, że poeta ma rację.

Twój zespół „Bierkowianki” ku czci
rozśpiewany pamięcią o tobie
wpleciony jak z wikliny koszyk,
a w nim same piosenki biesiadne
jestem pewny, że je słyszysz!

Ludowo i wciąż na ludowo
polskość pokoleniowo przynosimy,
to taki nasz zwyczaj, nieprawdaż
skupiamy polne szeptki i wierzbę -
jestem pewny, że mnie słyszysz!

Powiem ci szczerze, Kazimiero,
dzisiaj na dworze jest zimno...

29.5.2014 - Ustka, Czwartek 9:13

było, minęło, ale...

Marzec w tym roku był wyjątkowo ciepły. W polityce wręcz gorący. Na tyle gorący, że skutki politycznej gorączki wokół wydarzeń na Ukrainie, a w szczególności podstępnej aneksji jej Krymu dokonanej przez Rosję Putina, mogą być odczuwane jeszcze przez wiele miesięcy, a i lat także



Nie chcę jednak pisać ani o polityce, ani o rozpętanej przez Putina zimnej wojnie, poświęciłem im sporo miejsca w felietonach dla portalu www.pisarze.pl, gdzie zainteresowani zawsze mogą zajrzeć (uprzejmie zachęcam). Czytelnikom naszego biuletynu informacyjnego „Powiat Słupski” wspominam o nich li tylko z prozaicznego powodu, że przyćmiły inne ważne wydarzenia, wpisujące się w marcowy kalendarz.

Jedno z nich zasługuje na uwagę szczególną. Jest to data 21 marca i związany z pierwszym dniem wiosny Światowy Dzień Poezji. Właśnie poezja, ta bliska mi sztuka pióra, na przekór wszelkiemu złu tego świata radośnie łączy się z wiosną. I tym radośniej temat ten podnoszę, że nasz biuletyn jest jednym z wyjątkowych jej orędowników. A Powiat Słupski jako podmiot gospodarczy i społeczny pozostaje jednym z

przystawiając pączki w maśle. To znaczy: otrzymują moralne, duchowe i materialne wsparcie dla swej twórczości, na bieżąco ukazywanej w dodatku do biuletynu „Wieś Tworząca”, publikowanej w autorskich tomikach współfinansowanych przez Powiat Słupski, i corocznie prezentowanej w kolejnych poetyckich almanachach pieczętowanej „dopieszczanych” przez Starostwo Powiatu Słupskiego.

Niewtajemniczonym w temat święta wyjaśniam, że w drugiej połowie XX wieku społeczność światowa zaczęła obchodzić Dzień Poezji w październiku, najpierw piątego, a następnie każdego piętnastego dnia tego miesiąca. Dzień piętnastego października utrwalił się jako że w tym dniu urodził się wybitny, starożytny poeta Rzymu, Wergiliusz.

Tradycja obchodów Dnia Poezji w październiku, czasami w listopadzie zachowała się w wielu krajach europejskich. W Stanach Zjednoczonych i Kanadzie miesiącem poezji jest kwiecień.

- Mój Boże! Któż z nas nie uczył się poezji Wergiliusza (i Owidiusza także) w szkole średniej. Sam jeszcze mógłbym z pamięci recytować obszernie fragmenty jego poematów, w których związki człowieka z naturą zajmują ważne miejsce. Ważne miejsce zajmuje w niej temat miłości pasterskiej i przyrody, co i obecnie niekiedy może inspirować nas poetów, zwłaszcza tych piszących o wsi i jej kulturze regionalnej minionej epoki.

Wergiliusz stał się prekursorem poezji nazywanej ogólnie epiką, która dała impuls dla wielu współczesnych kierunków i trendów w literaturze. Śmiem twierdzić, że ów przywoływany przeze mnie Światowy (zresztą) Dzień Poezji jest w Polsce świętem mało znanym. Nie promują poezji w tym dniu biblioteki, nie obchodzi on zupełnie władz samorządowych, a poeci obchodzą go jedynie symbolicznie, głównie na forach internetowych. Zatem: Honorujemy naszych poetów!

Jest w naszym środowisku skupionym wokół Wtorkowych Spotkań z Poezją, któremu bardzo skutecznie i z dużym zaangażowaniem

przewodniczy pan Zbigniew Babiarski-Zych wielu wspaniałych autorów, zaangażowanych twórczo poetów, piszących poezję nauczycieli i profesjonalistów związanych z kulturą.

Chciałbym dla ich uhonorowania zaproponować symboliczny Dyplom Białego Bociana, który byłby przyznawany za twórczość poetycką - okazjonalnie. Za rok z okazji Światowego Dnia Poezji, a w trakcie roku z okazji rocznic, urodzin, nowej publikacji tomiku itp.

Święto w tym roku już było. Było, minęło, ale... poezja jest dla wielu z nas nieodłączną częścią naszego życia, naszej wrażliwości, naszych pasji twórczych przez cały rok. Wzbogaca kulturę regionu, poprawia samopoczucie samych twórców. Cieszymy się nią, tym bardziej, że cieszy ona naszych powiatowych menadżerów i bliskich.

Jan Stanisław Smalewski, Naémierz



nielicznych podmiotów tego typu w kraju, które tak szeroko wpisują się w kulturę społeczną, promując twórczość poetów wiejskich, i nie tylko wiejskich zresztą, o czym nasi czytelnicy od dawna wiedzą.

Światowy Dzień Poezji został ustanowiony przez UNESCO jesienią 1999 roku, a jego główne uroczystości odbywają się w Paryżu. Ustanawiając owo święto słowa i ludzi się nim parających, i wiążąc go z pierwszym dniem wiosny, UNESCO postawiło sobie za cel: „promowanie czytania, pisanie, publikowania i nauczania poezji na całym świecie”. Miał on dać „nowy impuls, aby docenić poezję oraz poprzeć krajowe, regionalne i międzynarodowe ruchy poetyckie”.

Brawo! Brawo nasz Powiecie! I brawo panowie z Jego administracji!, którzy tak życzliwie podchodzicie do tego tematu, pod opieką których poeci w naszym regionie czują się jak

wiersze jana stanisława smalewskiego

POEZJA I POLITYKA

Za poezję można otrzymać Nobla
ale to musi być poezja wysoka
Od Wieży Eiffla wyższa i od Everestu
spowitego w obłokach
To musi być poezja wolna od rasowych uprzedzeń
wolniejsza od amerykańskiej wolności
biedniejsza od bangladeskiej biedy

To musi być poezja bogatsza
od najbogatszych w świecie ropośnych złóż
Kuwejtu Iraku i nawet Kaukazu
Nie mówiąc już o gorączce złota
o platynie i srebrze

Za poezję przyznają Nobla
Czy za najpiękniejszą w świecie?
Dali je przecież Polakowi i polskiej dali poetce
Chociaż Polska mała jest i nie każdy wie gdzie kraj ten leży
to jednak dali jej Nobla
za kamień - słowo: SOLIDARNOŚĆ
za echo - lawinę co zesłała w doliny
za zniewolenie napęczniałe różą poezji
Za bezkruwawo obalony napęczniały pakiem krwi
REŻIM

UWIERZYĆ POECIE

Uwierzyć poecie to uwierzyć słowu
co nie znaczy jednak że znów ktoś ma rację
dzięki jego słowom łatwiej będzie żyć
bezdumni otrzymają mieszkania robotnicy
wyższe pensje poprawi się chłopom bo ich ugory
zostaną zaorane ziemia znów zacznie rodzić
przybędzie mięsa na stoły mieszczan

zaś mieszczanie będą mogli strajkować
palić urzędy państwowe i gmachy publiczne
oraz domagać się nowych trybunów

takich co przy pomocy słów raz jeszcze spróbują
naprawić naszą rzeczywistość

Uwierzyć poecie to uwierzyć słowu
To słowo pozostanie w tobie Możesz je wyjąć
obejrzeć i nie naruszając struktur niczyjej władzy
na swój sposób doskonaląc świat
lub go nienawidzić

O SŁOWIE

To co leży przede mną to kartka
- niedługo zapomnę jak wyglądał papier
Na szczęście pozostanie słowo - trzeba mu pościelić
pieczętówką okryć okładką jak kołdrą puchową

Może go od razu wklepać w komputer
W metropolii słów zginie przepadnie albo
wyplynie na fali pożądań jeśli będzie zgrabne
A jeśli waleczne wygra nawet bitwę

o przetrwanie - wielkie się stanie i wejdzie na cokół
Rozejrzy się wokół - kwiecie będzie pachnieć
i tłumy przyjdą by zgodnie świętować
kolejną rocznicę zwycięskiego słowa

Nie - nie wybiorę dla niego pamięci
Pamięć dla słowa bywa papierowa
a ta w kamieniu piaskiem sypie w oczy

Od czasu do czasu - przewracając kartkę -
będę go odwiedzać i wspominać mile:
Było minęło - miało swoją chwilę

ciężar wersetu

W „Chwilach siwienia” Jerzego Fryckowskiego nie ma już nagromadzenia błyskotliwych metafor ani odwołań „generacyjnych”. Są metafory konieczne i rzeczywistość pokazana w jej najważniejszych aspektach

„Bo więcej waży jedna dobra strofa / niż ciężar wielu pracowitych stronic” - pisał Czesław Miłosz. Z wierszami Jerzego Fryckowskiego (ur. 1957) stykałem się przeważnie w Necie... Ale lista książek i otrzymanych nagród poety spod Słupska wygląda dość imponująco. Zakres zainteresowań - również. Poeta, krytyk literacki, dziennikarz, redaktor, animator kultury...- czytamy na okładce najnowszego tomu wierszy* tego autora. Darujmy sobie tego krytyka literackiego. Dziś każdy bywa krytykiem nawet po zamieszczeniu kilku uwag na jakimś portalu literackim. O papierowych książkach lepiej nie wspominać, gdy opublikowanie tomu szkiców czy recenzji graniczy z cudem. Minęły czasy, kiedy np. „Czerwona

msza” Urbankowskiego ukazała się w nakładzie 20 tysięcy egzemplarzy, a praca zbiorowa „Kaskaderzy literatury” nawet w pięćdziesięciu tysiącach. To były, zresztą, wyjątki wśród dwu-trzytysięcznych nakładów. Wypadałoby jednak uszanować statuty SPP i ZLP, i zgodzić się z wyrażanym tam poglądem, że krytykiem zostaje ktoś po opublikowaniu co najmniej jednej książki zawierającej szkice, eseje czy recenzje (?). Jednak i tu powstaje pewna trudność natury aksjologiczno-merytorycznej.

Od dawna recenzje z książek mają charakter marketingowy, a rzeczywiste czy sfingowane wypowiedzi kolegów „po piórze” lub czytelników, publikowane często na portalach literackich bądź na internetowych stronach wydawnictw, zastępują rzetelne omówienia publikacji. Niemniej jednak nawet w Sieci zdarzają się trafne spostrzeżenia, świadczące co najmniej o znacznej wrażliwości estetycznej, np. na stronie salonu promocji twórczości Parnas.pl pewna blogerka napisała o wierszach Fryckowskiego: „jestem fanką pana metafor i skojarzeń”. Rzeczywiście wiersze autora „Chwil siwienia”* cechuje zgrabna metaforyka i rozmach. Wcześniej, poczynając od debiutu w 1989 r. (tom „Cierpliwość ubogich”) przez wydane w Krakowie książki; „Aleja dusz”, „Nogami do przodu”, „Gdzie już cicho o mnie”, „Zaufać ślepcom”, było kreowanie bohatera lirycznego (podmiotu lirycznego, „peela”) połączone z

ciąg dalszy na str. 11

wiersze najnowsze

Grzegorz Chwieduk, Kępice

czuć drżące majowe powietrze kasztany
stroją swą zieleni
misterną koronką kwiecica wydają się
królewskim szpalerem
każde drzewo robi wrażenie namiotu
zapraszającego
do odpoczynku aleja parku jest radosna
zdaje się być
przezroczysta i połyskliwa jak kryształ
wiosna mąci nam
w głowach patrzemy sobie w oczy
zblękitniałym wzrokiem

latem oddalaliśmy się od spraw dorosłych
poprzez
ucieczkę do starego opuszczonego ogrodu
tam
buszowaliśmy w dzikiej trawie dwie
garbate jabłonie
drażnione próchnem i bezpłodnością
miały imiona
dziewczyn z elementarza wisieliśmy na
gałęziach
jak małpy czailiśmy się w krzakach ten
kawatek
ziemi blisko domu poznaliśmy
i oswoiliśmy dla siebie

Czesław Kowalczyk, Słupsk

MOJA PANI POEZJA

A byłbym Cię nawet pokochał Poezjo
tak na zabój, na wieki, na czas
gdyby nie to przyzwyczajenie do
robienia czegoś na wstak.
Gdyby nie wódka, kobiety i śpiew
gdyby nie wyświechtany roboczy
kombinezon i biała koszula od święta.
Gdyby nie to psiakrew i takiego wała
a niekiedy mordą o bruk.
Byłabyś mi może nawet żoną i na starość
podpora, gdyby nie ten deszcz i śnieg
i mróz. Ładna byłaby z nas para.
Ja robociarz Ty, wielka Dama
swoisty Miszmasz.
A tak jestem taki sobie życiowy
kalejdoskop, z dni bogatych i tępych uniesień
z żarliwych wieców, pieśni i chwały
z tego wszystkiego czym nigdy nie byłem
co nie kazało mi iść z Tobą pod rękę.

WIEŚ JAK BIAŁY ŻAGIEL

Są takie drzewa, których nigdy się nie otwiera
na oścież.
Są takie kraty, które zardzewiały umrą
w objęciach
murów.
Są też takie mosty, które nigdy się nie
podnoszą
i prowadzą donikąd.
I jest ta ojcowska wieś na dnie mego serca.
Stara, lekliwa i cikliwa, z kominem na
wzór masztu
statku.
Z białą prześcieradła żagli na sznurach
i cumą budy Burka.
I tylko trawy wokół jak morze wciąż
wypatrują
następnego okrętu.

Zofia Maria Smalewska, Naćmierz

MYŚLI MOJE

Kochanemu mężowi w rocznicę ślubu

Słyszę tykanie zegara z kurantem
Odmierza godziny spędzone z tobą
chowające się w kwiatach naszego ogrodu
rozpraszając moje myśli
zabłąkane ocierają się
o muślinowe prześwitki poranka
wylapują je ptaki zamieniając w trele

Potrzebuję ciebie żeby kochać
Co mogę jeszcze uczynić
Porządkuję wspomnienia z księgi marzeń
- lube mięknią i nie dają spać

Bym je zapamiętała patrzę na zegar
Wiatr od morza zimnym podmuchem
mrozi spragnione serce - Ile mnie
Ile nam jeszcze zostało

Czuję jak twoje dłonie wślizgują się we mnie
szepcąc wypowiadając słowa lubości
ulewające się strumieniem w nasze wnętrza

Wołam cię kochanie
wołam nawet wtedy kiedy mnie nie słyszysz

STARA KUŹNIA

Z dziurawym dachem
ubrana w drewniane łąty
ledwie się trzyma starucha

Pośmiewisko wróbli
miejsce dla szerszeni
drewniana kuźnia zamknięta na głucho

Palenisko wygasto
w ogień nikt nie dmucha
płuca miechów martwe jak stare organy

straszą kiedy wiatr zawita
On jeden tam gości
podków szczęścia szuka
rumaki w puste stanowiska wstawia
kuć każe prosi o podkowy
gdy wokół wymowna pustka i cisza

Kowala już nie ma stary umarł
młody wyjechał
we wsi zabrakło koni
wiatru i dobrej pogody

Na kogo czeka
zaparta drewnianym kołem
z zawartymi wrotami i oknem na drogę
którą odjechały ostatnie powozy

Czasy pługów kos i lemieszki
też minęły bezpowrotnie
- ona nie wie o tym

Marian Kwidziński, Białogard

JESZCZE SIĘ NIEBO NADE MNĄ ROZGOŚCI

Jeszcze się niebo nade mną rozgości
gdy będę zmęczony i stary
jeszcze na złotym piasku słońce
przykucnie
będzie nas dwoje do pary

Noc się rozłoży księżycem gwiazdami
zamiast gorącej pościeli
dziewczyzna ochoczo wyskoczy
pewnie tak byście chcieli

Będę swe wiersze rozwieszał
na dzwoneczkach i fiołkach
na niewinnej akacji
będę stąpał po rosie przyznanej dotacji

I ciągle jeszcze kopyta mi dźwięczą końskie
gdy się wracało do domu
skiby pachniały zbożem
a lato jakby łośskie

I mleko od krowy na stole pachniało
i ciasne ubranka
jakże to wszystko pamiętam
rozdygotana furmanka

A gdy mi ciężko będzie
usiąść sam na kamieniu

wiatr mnie pocieszy melodią
jak znajomego przybłądę

Tak mógłbym zasnąć w objęciach
Jak w mej drodze szczęściem niesiony
niebo jak zawsze się nade mną rozgości
a pod stopami gorący otulny piach

Emilia Maraszkiewicz, Darłowo

W TĘ NOC ŚWIĘTOJAŃSKĄ

ognisko czerwone wino księżyc gwiazdy
i wianek z płonącymi świecami

gdy już nikogo nad rzeką nie było
jak te polarne niedźwiedzie
Adam z Ewą z łodzi na łódź skacząc
odpłynęli z rwącym nurtem

może to Miłość świszczącym lotem ścięła
palcem kiwając właśnie nad Adamem
bo być może to Miłość mówiła
niech pan otworzy oczy dla mnie
w zamian orszaki podwodnych panien
na łożach z lilii białych jak mleko

ani powrotu ani pachnących lawendą
lnianych szorstkich prześcieradeł
to chude ciało wkrótce będzie atrapą
a mogło być piękne

na podwodnym cmentarzu kołysanie
i szum przesypującego się piasku

Jan Kulsza, Strzelce Krajeńskie

JESTEM CHŁOPSKI

wiem - nie będę wirtuozem
ani poetą, sławnym profesjonalistą
bo jestem chłopski

lubię malwy i róże w ogrodzie
i to co jedzą chłopi:
kapustę, groch, fasolę różnego rodzaju
kasze, kluski, marchew, czerwone buraki
pierogi, kartofle, ziemniaki i pyry
zależy w jakich stronach przebywam
lubię świńskie boczki i ogony
i najbardziej wiejski chleb pieczony
w piecu opalonym drewnem
taki chleb ze smalcem i ogórkiem
kiszonym - to jest pucha
jeszcze lubię polskie kobiety
które mają na czym siedzieć
dziękuję śp. Jankowi Wanago za
kapustę z grochem w której stała byżka

nie lubię kebaba, pizzy, hot doga
i innych wymyślnych potraw
bo ja jestem chłopski

Zenon Marian Lasoń, Słupsk

WSPOMNIENIA

Z głębin dzieciństwa
Wydobywam beztróskie chwile
I maluję polne ścieżki
Pachnące kwiatami

Wśród zbóż dojrzewających
W letnim słońcu biegnę
Boso za białym motylem
I zrywam złote kłosa
Jeszcze nie skoszone

Gdy patrzę w dolinę
Łąk spowitych upałem
To słyszę jeszcze brzęk kosy
I głos kukułki
Z zielonego gaju.

I czuję jak słońce
W zenicie zalewa mi oczy
Wyciśniętym potem.

Jak natrętne baki
Piją krew mi z czoła
I słyszę dźwięk lemieszka
Z pobliskiego dworu
Co na obiad woła.

Zdzisław Opałko, Słupsk

LUSTRO

Nie win lustra za zdradę młodości
ani drzwi, że nie puka w nie nikt
stół też nie jest winien
że dopala się na nim
nagle zduszony papieros
a nie dopite wino
wciąż w kieliszku tkwi

na jego brzegu usta
utrwalone szminką
w nienasyconej próbie smaku chwili
zastygają
od pół godziny
a może od dawna - kto to wie

tylko płomyk świecy
jak zwykle beztrósko i z ochotą
przegania cienie mroku
czające się po kątach
lub z udawaną powagą
przygląda kwiatom w wazonie

to nic
że dzwoni tylko cisza
że bywa kogoś bardziej lub mniej
w proggu może stanąć nieobecność
w lustrze
zawsze ktoś jest

Irena Peszkin, Koszalin

MAJOWY RANEK

Wczesnym rankiem
welony brzoź zasuwają
mleczno-zielona mgła.

Energią ptasich treli
drga rześkie powietrze.
Penetruje płuća
aż do dna.
Oczy upaja majowa świeżość.
Drżą młode listeczki
i serce drga
czując ciepło twojej dłoni
jak przed laty,
kiedyś mi obiecał wieczność.

Elżbieta Szelałowska, Słupsk

MODLITWA

Czasie płynący
bądź łaskawy,
bądź przyjacielem,
daj siłę i cierpliwość,
daj miłość słoneczną
na deszczowe dni,
pomóż spełnić marzenia.
Sojusznikiem mi bądź...

Halina Staniszevska, Słupsk

TRUBADUR

pieśń wyśpiewał
O rozwieszanej tęczy
gdzie każdy z nas złączony
poświatą koloru bycia
śpiewem cieszy dusze
klejąc rany bliźnich
Spogląda wokół z wiarą
w czasoprzestrzeń kosmosu
Zagłada w galaktyki
przyjaciół z dawnych lat
by białym szronem nadziei
jak puzzle
układać świat.

Daniel Nowotczyński, Słupsk

PROGNOZA POGODY

Świat mamy w kolorach
Różnych od natury
I w przeróżnych porach
Jak nie słońce, chmury

Świat mamy w kolorach
Błękitu, zieleni
Jak u amatora
Który się rumieni

Paleta barw różnych
Od wschodu do zmięzchu
I nie chcąc być dłużnym
Dodam, tylko z wierzchu

Pod spodem zaś nijak
Jednaki krajobraz
Tu chyli się pijak
Tu zabrzmie śpiewogóra.

I wnet nie odróżnisz
Stare od nowego
Choć czasem się spóźnisz
I słaby do tego

Bo siły za mało
Energii nie starcza
I uwiad na cało
A uwiad to starczy

I w sklepie nie kupisz
Łaski tej jedynej
Boś chyba zbyt głupi
Myśląc - aspiryna

W podmiejskiej aptece
Nie ma czego szukać
Bo zrazu jak wiersz ten
Taka też nauka.

Aldona Magdalena Peplińska, Motarzyno

TYLKO ONA

Poezja - trzępot myśli
jednakowy uśmiech serc
splątany kłębek marzeń
radość, nieba śpiew

Albo zmarszczek bukiet
jesiennych barw paleta
troska, obawa, łza
mężczyzna, kobieta

Lub melancholii byk
nastrojów samotności
nocy letniej sen
poranek, co się złości

A kiedy indziej przecież
wcale nie jest taka
przeprasza, bo jest winna
chowając ptakiem wzlata

By opaść mgłą poranną
rozścielić pragnień wstążkę
a jeśli zechce kusić
słowami wpada w książkę.

Anna Karwowska, Dobieszewko

PATRZĘ NIEBU W TWARZ

I znowu stoję pod niebem obok pól
drzewa szeleszczą napiętą zielenią
głowa pełna westchnień
pokłon oddaje przestrzeni.
Wiatr dmuchając zmienia barwy
od wsi słychać żałosny
gwar uwięzionych psów
spękane ręce składam na krzyż
i odważnie patrzę niebu w twarz.
Obok kasztanów rząd
Liście służą im za płaszcz
Do jednego tulę się - by
Uciszył serca mego drganie.
Stoję - myśli daleko rzucam
tęsknotę i skargi różnych spraw
zakuwam w sobie jak stal.

CZERWIEC

Czerwiec ludzi owinął wokół siebie
rozsyła ciszę - nawet
kamienie ruszyły lekkim krokiem
niosąc słowa do poezji.
Dni lecą jak szczęście
błękitną pogodą nad światem
pszczoła melodia płynie
po płatkach kwiatowych
zapach upaja człowieka
niczym wino z gwiazdkami.
Słońce promieniami złoci
dzieci spieszą do wakacji
niektórzy szukają kwiatu paproci
i piskłeta gniazda opuszczają.
Serce dzwoni w starzyźnie
Wskrzęsza urodę, młodość
Tylko bliscy jeszcze na obczyźnie
a tu kłosa na polu dojrzewają.

Krystyna Wojewoda, Miastko

WERSAMI PISANE

Moje życie wersami pisane
Zasiewem rzucanym z ręki oracza.
Z płonów zebranych przez lata
Powstałe legendą prostego człowieka.

Bez przyjaciół, rodziny, ni domu
Idę za moją poezją - sługa uniżony.
Rozbudzony ze snów urojonych
Utwardzam w prawdzie niedoścignionej.

Słowa tworzące - jak perły rzucane
Przed wieprze, zalsnią potęgą doskonałości
Obmyte z brudu, umocnią jej trwanie.
A spisane - spuścizną w księgach mądrości.

Eugenia Ananiewicz, Słupsk

BEZPIECZNY AZYL

Mój ten kawałek ziemi
gdzie spory ogród sad i dom
schedę po rodzicach
otaczam głęboką czcią.

Tu wiosną do życia się budzi
każda gałązka i kwiat
radosna kapela ptaków
wiejski wychwała świat.

Z niebem zapłakać możesz
wiatrom się wypowiedać
troski wraz z nimi wyrzucić
zakazać tu powracać.

Samotność przegnać niech
sobie innego miejsca poszuka
najlepiej w lasy tam czeka
niejedna wygodna dziupla.

Bezpieczny azyl na ziemi
to moja mała wieś
tu niebo kłania się ziemi
a ziemia oddaje mu cześć.

Emilia Zimnicka, Izbica

WIOSENNE BRZOZY

Wiosenne brzozy
Biało-zielone panny lasu.
Listki mają tak delikatne
Jak cała zieleń tego świata
Prześwielone słońcem tworzą
Cudowną leśną mgłę
Pachnącą wiosną, nadzieją
Miłością, czymś wzlatającym
Nieuchwytnym, może duchami
Młodych dziewcząt
Które śpią snem
Wiecznym
Na pobliskim cmentarzu
W Izbicy
Wśród zapachu konwalii
I błękitu niezapominajek

MOJA WIEŚ

Moja wieś to pola proszące
O deszcz w czasie suszy
Głosem kani co wzlata pod niebo
To łak boski dywan kwiecisty
Rzeka Łeba płynąca wśród olszyn
Lasy szumiące wciąż pieśń starodawną
Przodków duchy krążące pośród ciemnej nocy
Moja wieś to mały kawałek ojczyzny
Którą kocham do końca
Tak cudowny bliski i uroczy

Genowefa Gańska, Bytów

MILCZENIE

Dziś w lesie przysiadło milczenie
A ja go w śpiew ptaka przemienię
I w szelest liści na drzewie
W których wiewiórka drzemie

Brzoza co rośnie przy drodze
Stoi dumna na białej nodze
Wiatr jej gałązkami kołysze
I szumem swym zakłóca ciszę

Wiosną obudzi las i knieje
Przywieje nową nadzieję
I rozkołysze wszystkie drzewa
By ptaszki mogły na nich śpiewać

Agnieszka Klekociuk, Możdżanowo

CIĘŻAR MIŁOŚCI

Czy moja śmierć
Niesie duży smutek w sercu?
Ten ciężar doskwiera mi gdy zamykam oczy
Jestem bardziej senna
A wokół mnie anioły
Każdy innym dobrem się staje

Lecz mimo wszystko
Ten ciężar w sercu czuję
I w myślach unoszę się poza wszechświat
Jakbym potrafiła być tam
Gdzie miłość uwiecznia istnienie

Tomasz Mroczkowski, Słupsk

SYBERIA

Zadzwoiłem do drzwi.
Wiedziałem, że trzeba dłużej poczekać.
Chwile mijają.
Zza drzwi zaczął dobiegać cichutki głos.
Schodziła po schodach powoli.
Każdy krok to dawka bólu.
Otworzyła.
- Niech pan idzie i poczeka w kuchni.
Wchodziła po schodach, a ból stawał się coraz silniejszy...
Spytała: - Napije się pan herbaty?
- Tak, proszę! Pomogę zaparzyć - dodałem.
- Dziękuję, ale mam jeszcze dużo siły! - odpowiedziała.
Nalała wrzątku do szklanek i usiadła przy stole.
- Węchnęli nas do bydłowego wagonu.
Było ciemno. Trzeszczały spróchniałe deski.
Koła tłukły w szyny.

Dźwięk metalu dudnił w uszach.
- Mamusiu boję się! Gdzie nas zabierają?
- Nie martw się kruszynko. Otrzyj łzy...
Wysadzili nas w gęstym, mrocznym lesie.
Kazali spać w ciasnej gliniance.
Wystrzępione ubrania przymarzały do pryczy.
Odmrożone dłonie i stopy.
Mama pracowała cały dzień za skórkę chleba...
Spojrzała daleko przez okno i przerwała opowiadanie.
- Niech pan zamknie drzwi, a klucz rzuci na taras, to nie będę musiała schodzić.
Muszę oszczędzić siły na drogę, do sklepu.

Syberyjski, siarczysty mróz powykrzywił nogi i ręce.
Następnego miesiąca znowu zadzwoniłem.
Czekałem dłużej niż zwykle, ale nie usłyszałem już głosu.

We „Wsi Tworzącej” Nr 1(64)/2014 omyłkowo zamieściliśmy wiersz pt. „Trzy słońca” Ireny Peszkin z Koszaliną z nazwiskiem Emilii Zimnickiej z Izbicy. Obie autorki przepraszamy za tę niezamierzoną pomyłkę. (z)

ciężar wersetu - ciąg dalszy ze str. 7

próbą stworzenia osobistego mitu, podobnego tym jakie zostały po Wojaczku, Stachurze czy „Brunonie” Milczewskim. Ową podmiot miał więcej wspólnego z bohaterem prozy lat sześćdziesiątych produkowanej przez tzw. hłaskoidów, niż z człowiekiem przełomu drugiego i trzeciego tysiąclecia. Ni to wieczny student, ni to wólczyga czy cwaniak lub obibok. Mały realizm, operując dość sprawnie realiami rzeczywistości okresu gomułkowskiego, nie potrafił utworzyć własnych archetypów i w rezultacie poniósł artystyczną klęskę. Zapewne nie bez pomocy cenzury i władz politycznych, którym czarny obraz życia przeszkadzał w propagowaniu wizji przyszłego szczęścia.

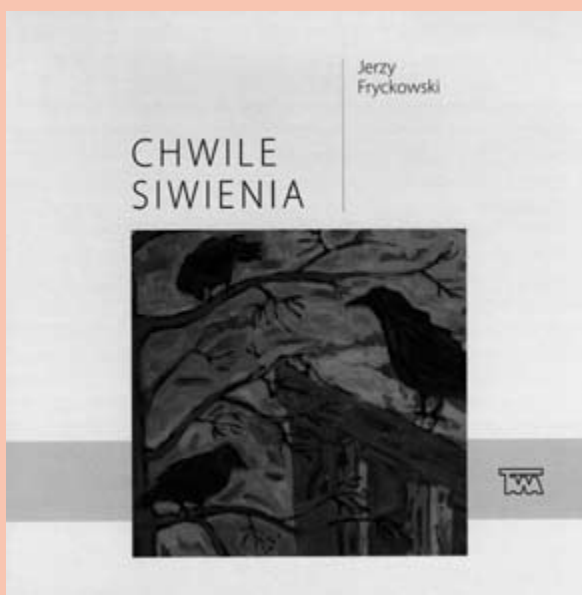
Bunt nie zniknął jednak ze sceny. I to nie z powodu ustatecznienia się, jak chciał Stanisław Grochowiak. Poeta zbuntowany sięgnął po nową stylistykę (dykcję? - jak chcą miłośnicy współczesnej polszczyzny), jaka za sprawą „Literatury na świecie” (nr 7 z 1986 r.) dotarła z kilkudziesięcioletnim opóźnieniem do Polski. Chodziło o szkołę nowojorską, oharyzm albo personizm, czyli nurt przeciwstawiający się usuwaniu osoby autora z tekstu poetyckiego. „Ale żebyś miał o nim (tzn. o „personizmie” - uwaga moja. AT) jakieś mgliste pojęcie powiem, iż jeden z jego mniej istotnych przejawów polega na zwracaniu się do jednej osoby (innej niż sam poeta)” - pisał Frank O'Hara w manifestie datowanym 3 września 1959 roku. Pisanie wsobne o zdarzeniach zachodzących w niewielkim kręgu znajomych czy przyjaciół, podwójne

dotykanie Rzeczywistości, częsty autotematyzm, demonstracja poglądów, ale tylko takich, które autor stanowczo podziela, względnie odrzuca. Tak pojmowany oharyzm prezentuje się jako swoisty naturalizm liryczny, a na samym wstępie

odrzucający wszelką filozofię, rzekomo, na rzecz sztuki, wygląda na naskórkowy, prymitywny realizm poznawczy, coś w rodzaju leninowskiej teorii odbicia.

Naturalnie, w praktyce zalecenia estetyczne wyglądały znacznie lepiej. „Ruszał się, Bruno, idziemy na piwo” - wzywał swego przyjaciela Sted, nie nalegając jednak, że to jest coś więcej niż zabawa towarzyska. Polski charyzm wyglądał inaczej i... ewoluował tak, że dzisiaj właściwie jest to inna poetyka, a o dawnych zamorskich inspiracjach zapomniano. Niemniej jednak

coś zostało z tamtych klimatów: anegdota czy opowieść, obecność drugiego „podmiotu”, szczegółowość opisów, odnotowywanie wydarzeń z określonego kręgu artystyczno-towarzystwowskiego, niechęć do filozofii... Są i nowe elementy; oharyści szanowali własne dziedzictwo kulturowe (przynajmniej Whitmana, Crane'a, Pounda i Williama), naszych młodych To nie interesuje, wolą się zachowywać tak, jakby wszystko



zaczęło się od nich. Duże wzięcie ma futurystyczna zabawa słowem. Wg wielu Amerykanów - znamię tandety artystycznej, gdy chodzi o zabawę dla samej zabawy. Nasi młodzi (no, bez przesady!) wyraźniej okazują niechęć do podmiotu zbiorowego i moralizowania, operują mniejszą ilością środków stychotwórczych... Ten konglomerat, widoczny bardziej w praktyce, niż w teorii, nazwałem kiedyś narracją zmetaforyzowaną. Tu i ówdzie nazwa ta się przyjęła, chociaż nie rejestruje wszystkich ważniejszych parametrów tej stadnej poetyki. Przez dłuższy czas ulegał jej również Fryckowski. No, może utwory wiejskiego nauczyciela wyróżniały się dłuższą frazą i bardziej zręcznymi metaforami. Przełom nastąpił w



omawianym tomie wierszy, nagrodzonym w konkursie imienia polskiego emigracyjnego poety - Wacława Iwaniuka (1912 - 2001). W „Chwilach siwienia” nie ma już nagromadzenia błyskotliwych metafor ani odwołań „generacyjnych”. Są metafory konieczne i rzeczywistość pokazana w jej najważniejszych aspektach. Może zadziałała magia nazwiska patrona konkursu - jednego ze współtwórców Drugiej Awangardy. Może zdecydowane przejście conradowskiej smugi cienia, dziś tak bardzo opóźnione. W każdym bądź razie krytyka muszą interesować rezultaty, a nie ich przyczyny. Odnotowuję, więc, kilka znakomitych tekstów: „Telemach”, „Mojżesz”, „Pożegnania”, „Spowiedź menela pod wiaduktem w Poznaniu”. I sporo koniecznych metafor. Co określam tym mianem? Po prostu skrótowy zwrot, który jest w stanie zastąpić obraz lub opis sytuacji czy też działania. Oto przykład: „Samym napięciem żył otworzy puszkę” (str. 12), „...wystużone wagony bez oddechu lokomotywy / dopalają w sobie wspomnienia podróży w nieznane” (str. 14).

W starej poetyce ta ostatnia syntagma byłaby uznana za metaforę barokową czy Grochowiakową. W nowej niczym się nie wyróżnia, jest zwyczajnym elementem narracji metaforycznej, konstruowanym na różne sposoby. Na przykładzie wspomnianego już wiersza „Chojnice. Dworzec. Sierpień.” (str. 14) da się prześledzić czym jest i czemu służy ten zmetaforyzowany opis. Stojące na bocznicie stare, zdezelowane wagony pachną jeszcze „wodą brzożową” i słychać w nich „plusk pierwszych pocałunków”. Odrealniony, poetycki opis tej Rupieciarni - to Sceneria, Czas na akcję i... po lądy Obserwatora (peela?), którego, jak się okazuje, nie można by pomylić z Autorem ze względu na wypowiedź w drugiej strofie, gdzie mamy mowę pozornie zależną, a właściwie już monolog

wewnętrzny dość prymitywnego Everymana: „Z autokaru wysiada grupa Szwedów pytają o toaletę/ wstyd mi bo takowej nie ma /udaję że nie rozumiem/a niech się kurwa meczą za potop/ za podniesienie ręki na Najświętszą Panienkę”. Akcja toczy się dalej; bo „ktoś uczynny zaprowadził ich do toii toiki”. Następuje opis grupowego załatwiania czynności fizjologicznych, niepozbawiony akcentów indywidualizujących; „tylko jedna gruba blondyna nie może się domknąć/ i swobodnie zdjęć rajstop a co dopiero majątek firmy thompson”. Zmiana Obserwatora w Podpatrywacza - to kolejny koncept autora analizowanego wiersza. Mamy więc, domyślny peep show, raczej obrzydliwy. Po co? Nie wiadomo. Chyba nie chodzi tu o opatowanie opisem czynności fizjologicznej. Klucz do odpowiedzi stanowi zakończenie wiersza, z groteskowym i - zapewne - celowym przywołaniem znanego bon-motu Norwida; „przysadzista blondyna / szcza na moją ziemię / skąd kruszynę chleba / podnoszą dla uszanowania”. Zmieniwszy kilka słów w quasi cytacie, a więc „gdzie” na „skąd” i „przez” na „dla”, urywając też syntagmę, Fryckowski osiąga efekt wypowiedzi groteskowej. Nie jest to jednak kpina ani z Norwida, ani z patriotycznych tęsknot, silnie zsakralizowanych. Przeciwnie, raczej drwina z cytowania Norwida, czy w ogóle przywoływania klasyków. Młodym to się podoba, starym - nie. Wzbudzeni patrioci podniosą krzyk i ...znajdą się w kłopotcie. Autor „Chwil siwienia” nie jest bowiem antypatriotyczny. Zastanówmy się; norwidowy Peel, a konkretniej sam Poeta - Emigrant tęskni za Krajem, przywołuje jeden z obrazów kultu chleba i pracy,

bohater liryczny wiersza Fryckowskiego, bo przecież nie da się udowodnić, że sam Poeta - Krajowiec** marzy o tym, żeby nie musiał się wstydić przed cudzoziemcami za największą polską dolegliwość - brak „toalet”, czyli niesłowna deklaracja patriotyzmu, ale jego współczesna wersja - respektowanie Rzeczywistości, zamiast Tęsknot - zmiana Realiów, zamiast utrwalania Obyczaju - aktualny, patriotyczny Program. Można by podać jeszcze kilka przykładów świadczących o antykosmopolityzmie Autora. To przede wszystkim cykl „Synowie polscy”, a także obrazy z wędrówek po Polsce odnotowujące nie tylko wrażenia, lecz również obserwacje zjawisk społecznych („Spowiedź menela pod wiaduktem w Poznaniu”). Tytułowe siwienie to, naturalnie audenowska kara za poczucie, czy heideggerowski byt ku śmierci. Pojmowany jednak trochę inaczej, nie jako atrybut kondycji ludzkiej, ale jako momenty samowiedzy uzyskiwanej dzięki obserwacji. Życie jest więc mniej tragiczne. To proces samodegradacji oraz oporu przeciwko niej. I tak właśnie jest rozumiane we współczesnych naukach biologicznych czy w „Tybetańskiej Księdze umarłych”. Liryk - obserwator ustala kolejność; pierwszy osiwił je pies (str. 33). Najprawdopodobniej zgodną z potocznymi wyobrażeniami. Aktualnymi, bo zakończenie wskazuje na wyraźną różnicę między śmiercią kliniczną i biologiczną; „a potem ponoć światło / i rodzice kiwający na mnie palcem”.

W najciekawszym, prawie epickim wierszu „Pożegnania” (str. 34-36) Narrator (peel?) odnotowuje przebieg procesu rozpadu Rodziny: „pierwsza odchodzi Żona”, później Syn, Córka, Pies i... Bohater Liryczny. Nie jest to jeszcze „odchodzenie” - słowo z nekrologów, ale zwykłe porzucenie i reakcja na nie, opowiedziana przy pomocy metafor. Koniecznych, zawierających w sobie elementy gigantycznej Paraboli, a może

tylko Przepowiedni. Przyjrzyjmy się, więc, poszczególnym Figurom Rozstania. I Sytuacjom (wrażeniom?) po ich odejściu. Kiedy znika Żona „...masz coraz więcej do prania / choć koszul coraz mniej / powoli przestajesz pachnieć old spicem i amforą // w tożu małżeńskim tylko monidło przegląda się w kryształkach krochmalu”. Syn początkowo „za głośno słucha muzyki”, później jego zachowanie coraz bardziej odbiega od oczekiwań Ojca, wreszcie zostaje naruszony stary obyczaj męskiej rozmowy: „w barku legion zagranicznych alkoholi / czeka na pierwszą rozmowę do świtu”.

Daruję sobie dalsze cytowanie, bo przecież nie chodzi o to, żeby „cytologią” zapychać pustkę myślową i krzewić obojętność aksjologiczną, ale o dostarczenie Czytelnikom wyobrażenia o typie narracji lirycznej, zastosowanej w najlepszym - moim zdaniem - tekście „Chwil siwienia”. Na końcu tego łańcucha degrengolady, odchodzi sam bohater liryczny „spakowany od kilku lat / bez szczoteczki do zębów”. I tu pozwolę sobie na osobistą dygresję. Pogląd, że mężczyzna po pięćdziesiątce powinien być „spakowany” wyraził podczas

promocji mojej książki w 2012 roku krytyk dr Andrzej Wołoszewicz, stwierdzając żartobliwie, że jestem niewłaściwym egzemplarzem na poparcie tej słusznej skądinąd tezy. Głowię się, więc, czyj jest ów bon-mot: Wołoszewicza czy Fryckowskiego? To zajęcie nie przeszkodziło mi jednak w przeczytaniu i próbie zrozumienia interesującej i ważnej książki pomorskiego poety.

Andrzej Tchórzewski, Warszawa

* Jerzy Fryckowski, „Chwile siwienia”, Wyd. Tawa, Chełm 2013, str. 38, Nagroda Główna w VII Ogólnopolskim Konkursie Poetyckim im Wacława Iwaniuka sponsorowanym przez gminę Siedliszcze. ISBN 97-83-83-6263818-5.

** Kategorię „podmiotu lirycznego” (resp. „bohatera lirycznego”) wprowadzono do teorii literatury, a później do krytyki literackiej, na przełomie lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych minionego stulecia przede wszystkim w dwóch celach: a) zerwania z dziewiętnastowiecznym biografizmem b) ułatwienia Autorowi - Poezie, wzorem Autora prozy artystycznej, posługiwania się „sprzecznymi” sądami i opisami, czyli tzw. Polifonią.

Zjawiska kobiecej duszy



Ewa Kolasinska napisała wiersz „Wiosenny mieszmasz” do przyszłej książki „Róże i rzeki”. Gdyby miała więcej czasu, tych wierszy byłoby więcej, to wiem

Pobudza ją do tego jej mężczyzna, ale życie ma najpierw swoje prawa, a potem (ten zupełnie inny świat), wręcz baśniowy. W dzisiejszych czasach to wręcz nieprawdopodobnie, by taka wrażliwość i szacunek do Słowa miały miejsce. Media nam tego nie dają, a polityka wdiera się i układa łapanki jak z zasadzki pająk na swych pajęczynach. Jednak coś powstaje, jak ten czternasty wiersz...

Autorka pisze:

*Uwiodłeś mnie orzeźwieniem
bystrej jak potok
płynący ze szczytu gór -
miodowej poezji wędrowca*

Ten miłosny zwrot do ukochanego jest tak czysty jak źródlane wody. A dlaczego zwie go „wędrowcem”? Bo jest współczesną Penelopą a swojego wybrańca nazwała Odyseuszem. I gdyby się bliżej przyjrzeć, to jest niczym współczesna epopeja ich podobnej miłości i rozłąki jak tamta legenda. Taka ujmująca. Poetka dalej pisze:

*Smagana słońcem na leśnej polanie
zbieram bukiet ze słów
pachnący czerwoną poziomką
w wiosennym cocktailu dnia*

Tak pisze o nim i dla niego te myśli składa, wręcz żyje w jego żyłach tak prawdziwie, że on ją czuje na odległość, ba, on czuje że jest w nim, zawsze kochająca i pragnąca tylko z nim łączyć strofy - i wiersza i życia...

I nie jest z tym lepsza ani gorsza, po prostu jest prawdziwie wierną niewiastą. To trzeba mieć w swej naturze.

To trzeba się takim urodzić!

Opisuję ten utwór miłosny jakby to była baśń. Bo autorka tego wiersza jest dojrzała literacko. Jej słowa do wiersza są wyważone. To jest pewne mistrzostwo w Poezji... Pisze:

*Wiosna -
kluczem żurawi
perłowe obłoki
niczym kochanków
do siebie przypina
kocią bazią zmysłowo
flirt z aksamitem skóry
leśnej igraszki
jak wirtuozowskiego
smyczka
świerszczy obwieszczą...*

Ile tu zjawisk kobiecej duszy! Te „leśne igraszki” a „flirt z aksamitem skóry do siebie przypina”, jakby „kocią bazią zmysłowo”. To naprawdę jest sztuka.

Jakby było mało, poetka pyta:

*Czy wyryłam twoje
imię na pomniku ust?
Cichy szept płynący
dłutem słów
zabrzmiał jak salwy
wystrzał...*

I zaraz odpowiada za niego, bo on daleko walczy z przeciwnościami losu, walczy by powrócić tam, gdzie jego



jest miejsce tak strzeżone przez Penelopę! Odyseusz powinien być najszcześliwszym mężczyzną świata!

* * *

Długo czekaliśmy na następną propozycję z twórczości Ewy Kolasieńskiej, przyznam że denerwowałam się, czy to tylko był wiatr poetycki czy wiaterek. Ale nie, poetka jest ambitna i udowadnia swoją miłość do literatury. I oto mamy jej kolejny wiersz pt. „Tęcza w Dolinie Olch”. Solidny to wiersz, wypracowany, bo poetka nie płynie na tratwie...

Poetka pisze:

*W słupieckiej Dolinie Olch
rozświetlonej sławą
piewcy Josepha Wittiga
w porze topnienia śniegów
zamieniam słowa -
nasączone miodem
i kroplą piołunu
na modlitwę
o złoty deszcz z nieba*

*(Joseph Wittig - wybitny teolog, poeta, piewca Ziemi
Kłodzkiej, autor Kronik Nowej Rudy i Słupca).*

I tu poetka stara się metaforycznie udowodnić, że jest na dobrej drodze w sztuce układania słów. Takie malarskie impresje. Nie wiem, czy mogę się przyznać, że już od ubiegłego roku widziałem w niej tę wrażliwość i namawiałem, by spróbowała pisać. A ona od razu, od pierwszego wiersza zaskoczyła mnie!

Pisze swojemu mężczyźnie, wie jak jest czuły na jej miłość:

*Niebo z dołu podpływa
surową czerwienią
wirtuoz powietrze
drga na skrzypcach
westchnień...
z wiatrem chłoniesz
jej zapach
kropeł miłości
nawilżonych łzą
romantyka...*

Nazywa go romantykiem, bo trafniejszej nazwy nie ma. Ale i ona jest romantyczką, zatem idealnie odnaleźli się i trwają w swej miłości. Poeta i poetka. Cóż lepszego w życiu osobistym dla nich. A jakież to wyznanie: „z wiatrem chłoniesz jej zapach”...

Spieszysz dodać:

*Szukasz jej śladów
w bliskości wiersza
Nie znanych wzruszeń
w pożarze nocy
płonące lody gasisz
udręką kapłanki
idącej w stronę wiosny*

Tak, jej kochany powinien płonąć wręcz ze szczęścia. To naprawdę w historii Poezji niesamowite wyznanie: „w pożarze nocy płonące lody gasisz”...

I spieszysz jeszcze dodać:

*o różowej mgle
nad nami
wypełniającej wszystko*

*Ziemia przyspiesza rytm...
a ty jakbyś mnie znał
od zawsze...*

Można mnie podejrzewać, że jako recenzent zbyt łaskawo jestem dla poetki Ewy Kolasieńskiej. Ale czy nie mam racji, iż w polskiej poezji wyrasta ciekawa osobowość i ważne jej wiersze dla literatury pięknej?

Pracowita jest poetka, bo mam następną jej wiersz „Taniec łabędzia”... Jest w nim pewniejsza siebie. Cieszę się, że charakteryzuje ją finezja w łączeniu strof. Przed nią cudowny czas, być inną kobietą, bo Poezja i uszlachetnia, i kształtuje - jak strumień potoku, kamyki. Spróbujmy zrozumieć jej słowa:

*W uwodzicielskiej scenerii
ponętnej rudawki - miasta
z kuszącymi wzniesieniami
echo niesie poetycką
fantazję o dziewczynie
zakłętej w łabędzia...*

Rudawka to ona, a miasto to Nowa Ruda. Stamtąd pochodzi. Ma silne korzenie, bo wiadomo: dzieciństwo, szkoła podstawowa, okres dziewczyny dorastającej, matura i studia, szczegóły mają tu silną podstawę, by wrócić tam, przecież rośła z tym miastem. To dobra modlitwa i uroczy stan psychiki.

Kojarzy sobie, że tam był jej ukochany chłopiec, to się czuje:

*Usiadłeś na ławce
pod starym dębem
w dymnej zastanie
kopalnianego szybu
czerwienią żaru
łzą liryki -
dotykasz serca
baśniowej Odetty*

Dobrze, że poetka tworzy taki klimat. Nowa Ruda to kopalnie w krajobrazie miasta. Ta ławka jest i dzisiaj pod tym dębem. Wcale się nie zmieniła. Nie starzeje się...

Autorka wiersza prezentuje ważny szczegół, kiedy pisze:

*Jej taniec
etiudą uczuć
baletem na niebie
odlatującego ptaka
pocałunkiem księżycowej
przysięgi
poza granicą krainy korzeni*

Ale jest też strofa wysokiego lotu:

*W jeziorach oczu
topisz zachwyty
fenomenowi Czajkowskiego
dzieła
Czy w walce dwóch światów
masz klucz do miłości tysiąclecia?*

Czy ma ów ulubieniec klucz? Zapewne tak, bo poetka by o tym nie przypominała. Przecież to się czuje jak go zaprasza do miłości. I on o tym wie, choć zamieniona jest w łabędzia to z nią tańczy w tej intymnej poezji wyznań, obustronnej. Myślę, że warto poczekać na następne wiersze. Miłosne wiersze do mężczyzny odnalezione w pewnej nieznannej Zatoce Delfinów...

Zygmunt Jan Prusiński, Ustka

książka na obecny czas?



„Colas Breugnon” autorstwa Romaina Rollanda to książka niezwykle błyskotliwa, ale i żartobliwa. Narrator w sposób bardzo wyszukany sonduje świat i zachodzące w nim procesy. Przede wszystkim jednak mówi o sobie i to ze swojego punktu widzenia opisuje świat

Podaje nam bardzo prostą wykładnię rzeczywistości, choć czyni to w niepewnym czasie, w obecnym świecie niestałych wartości. Jest on „człowiekiem poczciwym”, otwartym na ludzi i świat, szczerym i odważnie kroczącym przez życie. Książka tego Noblisty to lektura, która może okazać się remedium na problemy dzisiejszych pesymistów, ludzi mocno owładniętych rutyną, nie mających na nic czasu, zdesperowanych i zestresowanych, obojętnych i zgryźliwych, czyli tych wszystkich, którzy poddali się wymogom systemu bez walki, skapitulowali, uwierzyli, że bycie przeciętnym wystarcza, by prawdziwie żyć. Takim ludziom bez emocji, bezpłciowym ignorantom mocnych wrażeń przyda się ta książka i za wzór być może postuży sylwetka bohatera.

Na wstępie pragnę jednak wyjaśnić, jakie były okoliczności jej wydania i jak ma się to do samego bohatera tekstu. „Przedmowa z powojennych czasów”, zatem z roku 1919 poprzedza wstęp od autora z 1914 r. zatytułowany „Przeostrogą czytelnikowi” i sytuuje tę książkę w odpowiednim momencie historycznym. Rolland twierdzi, że treść książki nie uległa zmianie. Zatem jest to twór powstały jeszcze przed pierwszą wojną światową. W przedmowie z 1919 roku stwierdza, że porażonej wojną Europie przyda się chwila na oddech, na odbudowanie tego, co utracono. Dlatego jego optymistyczna wersja świata ma stać się również medykamentem na niepewność i niestabilność egzystencjalną odczuwaną przez przeciętnego mieszkańca Europy. Z przedmowy wcześniejszej wynika, że książka powstała z jego wewnętrznej potrzeby. A dopiero później, w momencie publikacji, stała się celowo skrojoną strategią światopoglądową. Z wojną nie ma ona żadnego związku. Jest to „opatrywanie ran” powojennych dokonywane jakby przy okazji. Dodać należy również, że jest to jednocześnie ogromny zbieg okoliczności. Sposób obserwowania świata przez Rollanda okazuje się być ważny dla świadomości Europy międzywojennej. W pewnym sensie światopogląd tego okresu, atmosfera tego czasu i klimat zawierają się właśnie w książce tego Noblisty.

A teraz zajmijmy się samym Colasem Breugnonem, głównym bohaterem tekstu i równolegle jego narratorem. Zastanawiający jest jednak fakt, dlaczego tak często powraca Colas do swoich burgundzkich korzeni, w jakim celu tak często to podkreśla? Czy pragnie za wszelką cenę ukazać swoje pochodzenie, nie zapomnieć o nim? A może chce, abyśmy myśleli,

że wszystko to, o czym pisze, jest autentyczne, a jego tekstem nie rządzą prawa żadnej fikcji literackiej? Wypada się zatem zastanowić, gdzie leży granica (bądź czy w ogóle istnieje?) między autofikcją a rzeczywistymi faktami z życia. Być może powinniśmy rozważyć zastosowanie do zauważonych treści autobiograficznych terminu „fikcja wydarzeń ściśle rzeczywistych” stworzonego przez Serge’a Doubrovsky’ego? Jedno jest pewne, za prostą i naiwną autobiografią autora stoi coś jeszcze. Tego możemy

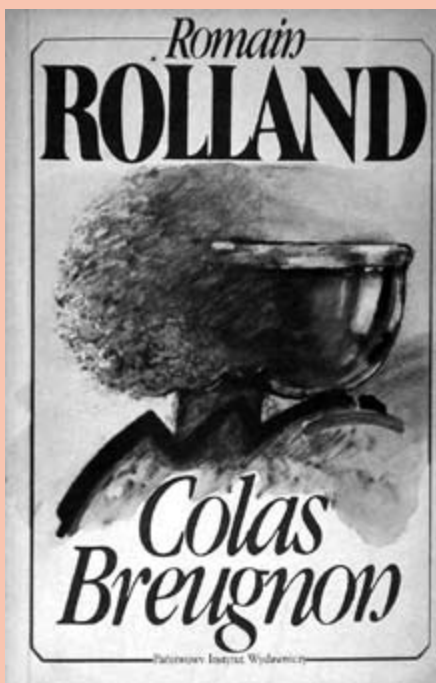
być pewni. Colas powraca do swoich przodków, nie wstydy się swojego pochodzenia, co więcej wydaje się relacjonować wybrane zdarzenia ze swojego życia. Ale właśnie w tej selekcji i przetworzeniu przez niego samego elementów przeszłości opierają się założenia fikcyjności tego tekstu. Bo Colas nie zdradza przecież wszystkiego, kryje za swoimi plecami jakąś tajemnicę. Potwierdzeniem tej tezy mogą być także uwagi samego bohatera. Przytoczę chociaż jedną z nich: „(Postanowiłem sobie nie starzeć się. Na złość cofam się wstecz w latach, tak że niebawem trzeba będzie postarać się o pieluszki.)”.

Colas, bohater omawianej lektury pisze rzekomo pamiętnik, w którym wybiórczo przedstawia najważniejsze wydarzenia ze swojego życia. Nie znamy jednak dokładnych dat jego opowieści. Ramy czasowe wyznaczają tylko nadpisane nad fragmentami tekstu daty: „2 luty” i „Trzech króli”. Pozornie mija rok. Ale Colas opowiada sobie, swoje życie i swoją historię od czasów młodości do sędziewej starości, aż do momentu bycia obłożnie „chorym na starość”. Colas na nic jednak narzeka. Przeżył życie tak, jak tego chciał i wyniósł z niego tyle nauki, ile tylko pragnął. Nie pozostaje nikomu nic dłużnym. Wręcz bawi się faktami ze swojego życia, igra z losem. Prowadzi także humorystyczny dialog ze stworzonymi przez siebie postaciami. To wszystko skłania nas do głębszej analizy tego

tekstu, który chyba nie przypadkiem napisany został w tak „luźny” i prosty sposób.

Z tezą o autobiograficznym nacechowaniu tego tekstu łączy się charakter ujmowania czasu w przytoczonej historii. Bohater książki „błądzi” w korytarzach czasu. Przeszłość pragnie odgrzebywać a swoją teraźniejszość tuszować. Rolland bawi się czasem bardzo umiejętnie. Nic dziwnego, że jego opowieść jest aż tak ciekawa, bowiem jako czytelnicy odносimy wrażenie, że czas wcale tu nie stoi w miejscu. Co więcej, istnieje on jakby obok bohatera, staje się on kompanem jego wędrówki. Zatem czas niczego nie narzuca, on trwa wraz z „człowiekiem poczciwym”, który zgadza się na niego lub go odrzuca.

Colas jest wyrazicielem swojego światopoglądu. Jest przy tym bardzo konsekwentny. Skrupulatnie, na bazie licznych przykładów, przedstawia on swoje relacje z innymi ludźmi, ze światem i wreszcie z samym Bogiem. „Świat (...) można wytłumaczyć na różne sposoby, bo każdy sposób oświetla go tylko z jednej strony”. Rolland zwraca uwagę na bardzo istotną kwestię postrzegania świata i dokonywania jego oceny. Każdy z nas jest inny, dlatego w inny sposób pojmuje te same kwestie. Różnica jest dla niego błogosławieństwem. Bez niej



świat byłby po prostu nudny. Ta uwaga otwiera dodatkowe możliwości interpretacyjne tego tekstu. Ich wybór i zastosowanie pozostawia autor samemu czytelnikowi.

Reasumując, w książce Romaina Rollanda wszystko jest na swoim miejscu, każde zdarzenie ma ogromne znaczenie, a każdy skutek ma swoją przyczynę. Stworzony przez niego bohater jest humanistą, pragnącym zgłębiać znaczenie świata. Ale świat daje mu jednocześnie siłę i głęboką wiarę w to, że jego życie, tak jak wszystko inne, ma sens. Tego Colas jest pewien, nawet wtedy, gdy pisze: „Nie ma żadnego smutnego czasu, są tylko smutni ludzie”. Gdybyśmy mieli zestawić jego światopogląd z którąkolwiek epoką, byłyby to czasy odrodzenia. Światły, optymistyczny, zgadzający się ze stanem faktycznym człowiek jest przecież entuzjastą życia.

Bohater tekstu uczy nas tego, abyśmy niezależnie od czasu, w którym żyjemy, byli sobą, nawet jeśli nam się wydaje, że nic już nie posiadamy, bo wszystko zostało utracone bądź zaprzepaszczone. Posiadamy bowiem wiele, choć tego nie dostrzegamy. Każę nam się cieszyć z prostych rzeczy. Dlatego pisze: „Wszystko poszło inaczej niż chciałem, i właśnie dobrze się stało! Człowiek to pocziwe bydlątko, zastosuje się do wszystkiego, nawyknie do szczęścia i cierpienia, do obfitości i głodu. Daj mu cztery nogi albo zabierz mu dwie (...) zawsze sobie jakoś poradzi (...)”. Niech ten fragment pozostanie naszą życiową dewizą.

Anna Łozowska-Patynowska, Słupsk

Romain Rolland, Colas Breugnon, *Żyje jeszcze człowiek pocziwy*, przeł. F. Mirandola, Warszawa 1968.

moja ulica

Ulica, na której mieszkam jest prosta, jak drut, może jak strząła lub może coś jeszcze bardziej prostego - chociażby linijka. Choć rzecz jasna takiej nazwy nie nosi. Nie jest specjalnie długa, nie jest też krótka, jest jedną z tych ulic Starego Miasta, których z pewnością powiemy, że są świadectwem minionej sławy grodu nad Słupią. Czas trwale zaznaczył tu swoje piętno, sprawiając wrażenie jakby o niej zapomniano



Z niemieckojęzycznych źródeł historycznych wiadomo na przykład, że ta rzeczona ulica nosiła przed II wojną światową nazwę Probststrasse. Zaczepnęła ją od cieką wodnego wypływającego z klasztornych stawów (Probstnbachbor). Były to stawy zgromadzenia norbertanek, a drogę przy której się znajdowały nazywano (Weg zum Probstbor), co oznaczało ni mniej, ni więcej tylko „Drogę ku proboszczowemu źródłu”. Dziś dawne stawy klasztorne przeżywają swój renesans, a odrestaurowane cieszą oko nie tylko mieszkańców Słupska. Znajdują się w niedalekim sąsiedztwie budowanego Akwaparku przy ulicy, której w 2012 roku nadano nazwę św. Klary z Asyżu. Klasztor w 1543 roku został zlikwidowany, a jego dobra przejął Barnim XI. Cały ten obszar począwszy od ulicy Kopernika (Amts) do rzeczonych stawów należał ongiś do dóbr klasztornych.

Współcześnie na ślad owego cieką wodnego, który początkował nazwę mojej ulicy można się jeszcze natknąć w okolicach nasypu kolejowego, niedaleko garaży przy ulicy Poniatowskiego.

Ulicą w nie tak znowuż dawnej przeszłości wstrząsały niepokoje, porachunki młodocianych band, była ona też sceną kilku brutalnych napadów i morderstw. Nadal rządzą tu młodziki, a niekiedy pozostałości pijackiego półświatka, chociaż akty te występują już z nieco mniejszą intensywnością. Być może przyczyniła się do tego większa niż poprzednio odpowiedzialność mieszkańców za sprawy bytowe oraz rosnąca świadomość i chyba częstsze niż dotąd interwencje policji? Czynszowe kamienice zamieszkują zwykli zjadacze chleba: urzędnicy, handlowcy z pobliskiego targowiska, robotnicy, niegdysiejsi rolnicy. Reasumując: drobni ciułacze do pierwszego i, o ile pamiętam, nie zamieszkał tu nikt znany i popularny. Od czasu do czasu zamieszkują tu również ludzie majątni, lecz do momentu, kiedy ich stan posiadania przekroczy dozwoloną w tym względzie normę społeczną. Wtedy znikają stąd bez fanfar, a na ich miejsce znów przybędą nowi, często o zrujnowanym życiu lub tacy, którzy się szybko wzbogacą w zadziwiający sposób i oni również

wyjadą stąd kiedyś po cichu, robiąc miejsce dla bardziej przegranych.

Margines społeczny nadał tej ulicy niepotrzebny rozgłos, ugruntował wśród słupszczan przeświadczenie, że jest to ulica zła aż do trzewi, a zapuszczanie się na nią chociażby przypadkiem, to tak jakby dobrowolnie włożyć głowę do paszczy lwa.

Nie zgadzam się z tą opinią. Margines społeczny jest tylko marginesem, wszędzie jest taki sam i nie może wpływać na całkowitą ocenę ludzi zamieszkujących tę ulicę. Przypomnę, że ten półświatek nie królował tylko tu, rozlał się chamskim potopem w inne rejony miasta. Często zadaję sobie pytanie, czy margines ten wykwitł tylko na tej ulicy i objął w posiadanie mieszkańców, klatki schodowe i bramy znaczone uryną, czy może wcześniej była to ulica Długa? Być może też ulica Podgórna, Długosza, Reja? Dzisiaj trudno odgadnąć, która z nich była prekursorką. Opinie na temat mojej ulicy wygłaszali prezydenci miasta, dyrektorzy Urzędu Morskiego, dyrektorki Miejskiego Przedszkola nr 5, publicyści i tzw. domorośli znawcy tematu, lecz w żadnym razie nie pokrywają się one ze stanem faktycznym. Trzeba tu mieszkać, ażeby zrozumieć i czasem jednak móc wybaczyć, chociaż przyznaję, robić to jest niezmiernie trudno. Nie można budować opinii o ulicy i jej mieszkańcach na podstawie jednostkowych przypadków, jest to dalece niesprawiedliwe i krzywdzące.

Czasem jednak popadam w apatię i wtedy myślę sobie, że Bóg musiał opuścić moją ulicę, bo z całą pewnością wcześniej zrobili to urzędnicy z miejskiego Ratusza. Ulica od lat pozostaje niedoinwestowaną. Przez ostatnie trzydzieści sześć lat, a więc przez okres, który tu zamieszkują nie zmieniła się wiele, no może poza tym, że budynki PGM-u i Urzędu Morskiego przeszły gruntowny remont. Elewacje kamienic znajdujących się naprzeciwko budynków odnowiono chyba tylko ze względów estetycznych, aby nie straszły pracujących tam urzędników, swoim poprzednim wyglądem. Degrengolada tej ulicy pogłębia się z każdym dniem, jest jak potajemny niszczycielski front, który wgryza się w mury kamienic i opanowuje jej zatęchłe zakamarki.

A szkoda, bo ulicę tą zaliczano niegdyś do umownej

granicy miasta, gdyż dalej poprzez półkolisty most kolejowy o stalowej konstrukcji, nazywany też Mostem małżeńskim, przechodziło się do miejsca z którego roztaczał się przepiękny widok na bezkres łąk z maleńkimi punkcikami ludzkich osad, skąpanych w wszechogarniającej zieleni. Na tym miejscu dzisiaj funkcjonują osiedla - Batorego i Sobieskiego.

Ulicę moją często przyrównuję do ulicy Długiej, ale nie jestem przekonany czy zastrzeżenie. Ulice te zamieszkiwały skupiska romskich rodzin. Grupki skoszarowanych Romów tworzyły specyficzną kolorową enklawę, dostępną nielicznym Polakom spoza ich kręgu kulturowego. Ta, okradzona z taborów społeczność właściwie koczowała na ulicy, niechętnie asymilując się z resztą polskiego społeczeństwa, rozlewała się barwnym potopem od ulicy Wolności do miejsca, gdzie dzisiaj funkcjonuje sklep spożywczy „Kubus”. Zetknięcie dwu kultur często rodziło animozje z powodu braku szerszego poznania. Uprzedzenia i szykany, a także rozbudzona świadomość romska sprawiły, że pewnego dnia odszedł z tej ulicy na zawsze cygański folklor, zniknęły kobiety w swoich kolorowych sukienkach, ucichły skrzypce i gitary. Całe rzesze rodzin romskich znalazły swój świat pod niebem Londynu i innych zachodnich stolic. Odtąd ulica pozostała jednolitą, być może bardziej lub mniej wierzącą i praktykującą, być może więcej było tu odtąd wyznawców komunizmu, pogromców myślących inaczej, przodowników pracy, ale tak jak chciały tego władze - w założeniu - pozostała jednolitą.

Rosły tu kiedyś drzewa, być może nie tak wysokie, jak na przykład przy ulicy Ignacego Paderewskiego (daw. Pankowa), ale zawsze były drzewa. Dziś już mało kto pamięta, jak zadrzewiona była moja ulica. Kiedy tutaj zamieszkałem pozostało ich tych tylko kilka, a jedno rośnie nieopodal mojego okna. W kamienicy naprzeciwko był kiosk, taki z papierosami, gazetami, proszkiem i szamponem. Drzewo to, chociaż już przygarbione, miało pecha od momentu narodzin, bo rośnie naprzeciwko witryny z Klubowymi i Sportami.

Każdej wiosny dokonywało ekwilibrystycznych cudów, aby pięć się w górę, lecz któregoś dnia domorośli siepacze zdecydowali o jego przyszłości i pewnie skończyło w palenisku, dając komuś odrobinę ciepła w zimowe wieczory. W ruch poszła piła, kilka uderzeń siekiery i runął ostatni bastion zieleni, jaki dostępny był z mego okna. Potem siepacze poszli dalej i kolejno padały mniejsze lub większe drzewa. To było, jak wyrok na zieloność. Nie przeczę, na ulicy a przynajmniej w bezpośrednim sąsiedztwie parterowych okien, zrobiło się trochę widniej, lecz ani na jotę nie oczyściło to zatęchłej atmosfery tej ulicy. Tylko ptaki długo nie mogły znaleźć sobie miejsca, ludzie przywykli, jak do czegoś oczywistego. Jak się przywyka do roboty i do codziennie zjadanego chleba.

Odtąd pijaczek Jętek nie miał gdzie załatwiać swojej naturalnej potrzeby, jego fumfel Maniek nie opierał już bolących pleców o pień, a później nie tarosił ich o korę drzewa. Majchrowi, dryblasowi natomiast to zwisało i było mu wszystko jedno, bo nie lubi pozostałych, dlatego drzewa też nie lubił i nawet się ucieszył z takiego obrotu sprawy. Lecz nie pomyślał gdzie się schroni, gdy słońce zacznie mocniej przygrzewać, a z wejścia do kamienicy, przegoni go nawet stara Brodecka.

Przewinęły się przez moją ulicę różnego rodzaju typy i indywidualia. Trwale znaczyły na niej swój ślad. Wymieniam je tylko dlatego, by uzmysłowić czytelnikowi gehennę, z jaką przez szereg długich lat mieli do czynienia lub nadal mają lokatorzy komunalnych kamienic, na tej czy podobnej ulicy.

Członkiem marginesu społecznego nikt nie staje się od razu, chociaż patrząc na niektórych na pewno wyszali to z mlekiem matki. A co, jeśli nie odziedziczy się tego w genach? Zapewniam, że są jeszcze inne sposoby, aby po kilkunastu latach, ten czy inny osobnik mógł się szczycić mianem typka spod ciemnej gwiazdy. Najpierw, gdy jest on jeszcze dzieckiem, przychodzą mu do głowy różne głupie pomysły: kradzież koledze jego ulubionej zabawki, przywłaszczenie sobie czyjegoś szczyryka czy innych przedmiotów. To, jak na razie, są niewinne akty, które można byłoby zrzucić na biedę, głód, pijaną matkę i ojca, który po robocie zawsze przychodzi „zapijaczony w trzy dupy.” Co z tego, skoro potem jest już tylko gorzej, zaczynają się włamania do piwnic, kradzieże rowerów, pierwsze pobicia w celu wyłudzenia pieniędzy. I tak nasz osobnik brnie w dorosłość. Pojawiają się pierwsze dziewczyny



ny, które za przyrzeczenie dozgonnej miłości oddają to, co mają najcenniejsze. Potem jest „skrobanka”, pierwsza większa woda, rzyganie, kac gigant, rozpasanie i bezkarność. Pojawia się pierwszy wpis w policyjnej kartotece - tych teczek potem przybywa, czasem w zatrważającym tempie. Poza obowiązkiem ukończenia podstawówki dalej nikt nie zwraca sobie głowy nauką. Są przecież kumple i jest zabawa. Ktoś zalicza celę, ktoś łąduje w szpitalu od nieprzepisowo długiego noża, jeszcze ktoś inny umiera udusiwszy się własnymi rygowinami. Tak w telegraficznym skrócie to wygląda. Wiem, że nie jest to pełny obraz, bo niekiedy pojawiały się żony, a potem dzieci. I wtedy zaczynał się dopiero prawdziwy dramat.

Jętek, pierwszy wyruszał na spotkanie poranka. Niczym rasowy przywódca zamglonym wzrokiem prześwietlał każdego człowieka spieszącego się do pracy. Zważywszy jednak na otepiały wzrok widział niewiele, gdyż jeszcze nie wyparował mu z głowy wczorajszy alkohol. Był przekonany, że ulica jest dla niego „parszywą zdiurą”, ale nic w tym kierunku nie zrobił, ażeby poprawić jej wizerunek. Nie lubił ulicy, a ona nie

lubią jego, choć przecież żył z niej i bezlitośnie eksploatował każdego podobnego poranka swoimi brudnymi łapskami. Jętek uważał, że w tym co robi, (a właściwie nie robi nic), żadnej ujmę ulicy nie przynosi, więc dlaczego ulica go nie lubiła - tego nie wiedział. Dlatego też, aby się o tym przekonać pił coraz więcej, żeby na dnie pustej butelki znaleźć odpowiedź na wciąż nurtujące go pytanie. Odpowiedzi tej jednak nie znajdował, a każda następna półlitrowka, była tylko pretekstem, aby na nowo prowadzić poszukiwania.

Jętek nie pracował, utrzymywała go żona, co nie było dla niego najmniejszym powodem do wstydu. Tłumaczył sobie: „to dobrze, że w rodzinie ktoś pracuje, w przeciwnym razie w domowej lodówce pozostałoby tylko światło”. W przeszłości i owszem, podejmował pracę, lecz po kilku nieudanych próbach doszedł do wniosku, że ona nie jest dla niego. On jest stworzony do wyższych celów, tylko, że nie mógł sobie przypomnieć, do jakich? Okres podejmowania pracy wspominał z wyjątkowym obrzydzeniem. Jego poranne obserwacje w sumie sprowadzały się do prostej czynności, którą nazywał „towieniem frajera”. Właściwie to tylko po to wstawał i zadawał sobie trud wbiać się w wyszelmowane dzinsy i wytartą koszulę, by wsparć go dwuzłotową monetą, którą przeznaczy na dalsze poszukiwania owego „złotego środka.” O dziwo, zawsze takiego kogoś znajdował, jeśli nie przy pomocy pięści, to słownej perswazji - na tzw. „bidule”.

Jętek nigdy nie pił sam, lubił towarzystwo, było mu ono potrzebne, aby wsłuchiwało się w jego pseudo-polityczne wywody. Gdyby nie to, nie zawracałby sobie głowy towarzystwem degeneratów. Był na tyle niezależny, by tak jak „Majcher” móc w samotności raczyć się kolejnym „kwachem”. Kumple pili, przytakiwali i na myśl żadnemu nie przyszło, żeby nie podzielać Jętkowego zdania w kwestiach tak ważkich, jak wprowadzenie stanu wojennego czy obrad „okrągłego stołu”. Solidarnie rozdzielał to, co ofiarował mu los („darczyńcy”), przez co zyskiwał dozgonną kumplowską wdzięczność, co bezsprzecznie przydawało mu się później, kiedy już na nikogo nie działały jego zaklęcia, a starczej pięści nie bały się nawet najmniejsze dzieci.

Maniek był w miarę normalnym facetem dopóki żyła jeszcze jego żona. „Śmigał” z nią do kościoła w wyglancowanych butach i ślubnym garniturze. Kupował kwiaty na imieniny i stronił od zarzyganych kumpli, jak długo się dało. Wszystko zmieniło się z jej śmiercią, cały świat runął mu z kolejną półlitrowką. Potem nie było już nikogo, kto by go podniósł, choć kumple byli od zawsze, stali w bramie i jakby tylko wyczekiwali, kiedy i jemu zwali się świat. Ożenił się po raz drugi, bo były dzieci, ale nie znalazł już szczęścia. Kumple nadal czekali w bramie i otwierali wino. Solidarnie - jedno dla niego!

Równie odrażającym osobnikiem był „Majcher”, ksywę tę zawdzięczał długiemu nożowi, chyba zbyt długiemu jak na obowiązujące przepisy. Ale ten zawsze nosił przy sobie, niby to dla własnej obrony. Ale nikt na niego nie napadał, bo był mężczyzną wysokim i barczystym. Z Jętkiem i Mańkiem pił rzadko, jakoś nie pałali do siebie miłością. Może dlatego, że oni byli od niego mądrzejsi i bardziej cwani, a on to wyczuwał. Ważne było to, że to Jętek był liderem i skupiał wokół siebie podobnie łykających, a „Majcher” mógł nadal straszyć swoim nieprzepisowym nożem i za sprzedane puszki po piwie kupować następną „Arizonę”, którą, gdy go nikt nie widział, samotnie wypijał za śmietnikiem.

O ile marginalna część mieszkańców tej ulicy żyła niekiedy z paserstwa i od czasu do czasu trudniła się rozbojem, to trzech wymienieni typkowie odżegnywali się od podobnych

praktyk, które mogły ich zaprowadzić do „mamra”, którego bali się jak diabeł święconej wody. Wystarczyło im w zupełności polowanie na frajera, niekiedy jakaś dorywcza praca i zbieractwo złomu. Było tak, że jeżeli pił Jętek, to pili wszyscy z jego otoczenia. Jeśli Maniek pił ze swoją żoną, a później ją bił dotkliwie, bo wyłtopała jego połowę flaszki, to biła żony nieomal jedna czwarta podobnie zdegenerowanych osobników. Jeśli natomiast „Czarny” parał się „Jumą”, to parali się tym procederem pozostali z jego rocznika. A jeśli po którymś z nieudanych wojaży po berlińskich sklepach „Czarnego” zgarnęła tamtejsza policja i odtąd odbywał on karę kilkuletniego więzienia w Niemczech, siedziało co najmniej kilkoro z tej branży. Pod tym jedynym względem ulica niekiedy była solidarna z marginesem społecznym, jak kochająca matka, która dba o swoje dzieci w jednakowym stopniu. Nie wychodziło jej to na dobre, ale matczyzna miłość bywa niekiedy ślepa.

Towarzystwo to upodobało sobie dwa miejsca. Pierwsze znajdowało się nieopodal śmietnika. Tam, w częściowo zamurowanym oknie starej pralni był barek. Drugim miejscem, być może mniej ustronnym, była brama jednej z kamienic. Obok znajdował się sklep spożywczy i była ona sukcesywnie znaczona uryną, podobnie jak psy, obsikują teren swojego żerowania. Stamtąd było łatwiej obserwować ulicę i typować kolejnego frajera. Liczyli się przecież tylko oni - łykający, a kto nie łykał - ten był kiep i następny w kolejce do obrobienia. Na ulicę długo nie zaglądały patrole policji. Czy zaglądały tu patrole Milicji Obywatelskiej, tego nie wiem. Sądząc jednak po sposobie rozpasania się pijackiego półświatka i wszystkiego, co się z nim wiąże, patrole te, jeśli już tu zaglądały, to tylko w przededniu państwowych świąt lub w dniu wyborów, gdyż w miejskim przedszkolu oddawało się zawsze głosy. Krążyły opowieści o tym, że ten czy ów ze stróżów prawa dostawał tu łomot i pozbawiano go munduru. Zdarzało się, że broni. Na ile były to historie zmyślone, a na ile prawdziwe, wiedzą tylko zainteresowani. Prawdą jednak jest to, że ulica z siecią zaułków, posesji odgradzonych murem, ciasnych podwojek i połacią komunalnych działek, dla przybysza z zewnątrz stanowiła istny labirynt nie do przebycia. Ten, kto nie musiał, nie zapuszczał się tu bez przyczyny. Nie jestem o tym przekonany, czy któryś z wymienionych przeze mnie typków zasługiwałby na miano „króla ulicy”, choć wspomniany już Jętek miałby największe predyspozycje do tronu. Ulica zatem nie miała króla, ale za to od zawsze była podzielona na strefy wpływów - na tę część od ulicy Wolności i na tę od ulicy Poniatowskiego. W każdej rządziły (i pewnie rządzą nadal) inne zwyczaje i kto inny wyznaczał pijacko-chuligańskie trendy. Alkoholowa społeczność ulicy koczowała wokół dwóch sklepów spożywczych, linią demarkacyjną była i, jak sadzę, pozostaje nadal posesja przedszkola. Z tej społeczności wyrosli dzisiejsi „niebiescy ptaszki”, wiecznie niepracujący i żyjący na koszt społeczeństwa. Wykształcił się również ich styl życia, bycia, styl daleko odbiegający od ogólnie przyjętych norm.

Z państwka pijacko-chuligańskiego dzisiaj pozostało już niewiele. Jednych z ulicy zabrała śmierć, drugich - prokurator na długie lata. Jeszcze inni wyjechali stąd w nieznaną, a jeszcze inni przestali pić, bo lekarze nie stwierdzali u nich wątroby. W każdym z tych opisanych przypadków, można odnaleźć podzwonne, bo kiedy obecnie przyglądam się młodzikom okupującym klatki schodowe, soczyście przeklinającym i pijącym piwo wprost na ulicy, to muszę przyznać, że nie odtoczyli się oni dalej niż na kilka centymetrów od zarażonego drzewa i nadal będą powielać chore schematy swoich ojców i matek.

Mimo wszystko, mieszkam z żoną na tej ulicy, wychowaliśmy tu córkę, jest dzisiaj piękną i mądrą kobietą i wcale

nie zaszkodziło jej to, że tu się wychowywała. A raczej na pewno uodporniło ją to, bo teraz już nic jej nie może zdziwić ani zaskoczyć. Drepczmy wciąż po tych samych skrzypiących schodach. Sądzę jednak, że skoro przeżyliśmy tutaj najlepsze lata swojego małżeństwa, to już możemy nazwać się zwycięzcami i z innymi rodzinami nadal będziemy zwyciężać tu przeciwności losu każdego dnia. Tych rodzin zwyczajnych, pośród których mamy oddanych przyjaciół, jest tu wiele i nie wymieniam ich dlatego, ponieważ nie wiem, czy tego by sobie życzyły. To daje nadzieję, że gdy któregoś dnia podniosę w oknie roletę, to nie ujrzę już w nim więcej pijanego osobnika opierającego się o drzwi wejściowe, nocą nikt tu nie zaryczy zwierzęcym głosem i słychać będzie tylko delikatny podmuch wiatru.

Czesław Kowalczyk, Słupsk

Pan Daniel Odija w swojej debiutanckiej książce pt. „Ulica” pisał o ulicy Długiej w Słupsku w sposób, jak sadzę, jednoznaczny. Po lekturze tej książki odniosłem wrażenie jakby na rzeczonyj ulicy pomieszkiwali tylko ludzie pokroju: Kandy, Gustawa Chmary, Globusa czy Panien Cebul. Wierzę, że tak nie było, a literacką inspiracją pisarza zawładnęła chęć ukazania mechanizmów, jakie rządziły(dzą) półświatkiem marginesu społecznego. Szkoda, że autor nie wspomniał o zwyczajnych zjadaczach chleba, ludziach, których w żaden sposób nie można zakwalifikować do marginesu społecznego. Często ci zjadacze chleba mieszkają tam z własnej woli lub dlatego, że nie mogą gdzie indziej mieszkać.

Każda ulica jest jak człowiek, ma swoje złe i dobre strony, ważne jest, żeby tych dobrych było w niej jak najwięcej. (Cz.K)

zmarła wanda majewicz-kulon

16 czerwca br. zmarła poetka związana ze słupskim i bytowskim środowiskiem literackim - Wanda Majewicz-Kulon z Bytowa

W sierpniu lat pięćdziesiątych wyjeżdżaliśmy z matką na wakacje. Mieliśmy kłopot co zrobić z naszym ulubionym żółwiem. Postanowiliśmy oddać go na przechowanie do ogrodnictwa państwa Faszczewskich. Oddając żółwia przekazałem go kilkuletniej dziewczynce z prośbą o opiekę. Dziewczynka, Wandzia Faszczewska przyrzekła opiekować się i karmić żółwia. Znajomość naszych rodzin trwała kilka lat, podczas których moja matka uczyła Wandę w Szkole Ćwiczeń, aż do chwili wyjazdu z Bytowa.

Spotykaliśmy się czasami na ulicy, wymienialiśmy uśmiechy i na tym nasza przyjaźń się skończyła. Życie potoczyło się zupełnie innymi drogami. Z rodziną Faszczewskich miałem kontakt wyłącznie za pośrednictwem brata Wandy - Stanisława, z którym kilka lat pracowaliśmy. Z Wandą ponowny kontakt nawiązałem przypadkowo. Wiedziałem, że po zamążpójściu jako Wanda Majewicz-Kulon stała się dobrze znaną w Bytowie osobą piszącą wiersze i bajki dla dzieci. Rozmawialiśmy na Jej temat podczas przypadkowego spotkania z Wackiem Pomorskim prowadzącym Literacki Klub „WERS”. Zaproponował mi członkostwo. Kończyłem właśnie druk swojego pierwszego tomiku, więc propozycję przyjąłem bez namysłu.

W tym czasie Wanda - zapraszana na spotkania autorskie poetka była już członkinią Grupy „Wtorkowe Spotkania Literackie” w Słupsku. Z przejęciem i dumą opowiadała o czytaniu wierszy w licznym gronie kolegów „po piórze”, o tremie która zawsze jej towarzyszyła, powodując czasami zabawne nieporozumienia i pomyłki. Właśnie tak chciałem realizować swoje rosnące zainteresowania poezją. Udało się spełnić zamiar i odtąd rozpoczął się następny etap mojej znajomości, a potem przyjaźni z Wandą Majewicz-Kulon. Zaczęły się wspólne wyjazdy do Słupska. Umawialiśmy się na przystanku autobusowym, blisko mieszkania Wandy. Wspólnie z Gienią Gańską, Jej wieloletnią przyjaciółką i Piotrem Grygielem stworzyliśmy tzw. bytowską grupę w Słupsku. Podróż rozpoczęła Wanda słowami: „No jedź, bo czekają na mnie moje koleżanki: Irenka, Eugenia, Ania, Aldona.” Zapominała zawsze zapiąć pas - potem częstowała cukierkami lub innymi słodkościami. W wielkiej torbie woziła różności - lekarstwa, kosmetyki, papierosy, no i oczywiście wiersze. Czas podróży szybko

nam upływał, ponieważ Wanda po wyjeździe z miasta rozpoczęła głośne czytanie swojego miesięcznego dorobku, wtrącając co chwila: „Czy ta metafora, Andrzejku jest trafna? A moje rymowanki - czy nie wyprowadzą z równowagi Zbyszka Zycha? Ciekawe, co też powie na to Mirek Kościeński, jak oceni Czesia Długoszek?”

Te pytania zadawała mi w pośpiechu, spoglądając spod oka jak zareaguję, oczekując niecierpliwie odpowiedzi. Wanda



bardzo lubiła ciepłe słowa dotyczące jej twórczości. Pamiętała długo przychylnie recenzje zamieszczane na łamach „Wsi Tworzącej”. Ceniła sobie szczególnie opinie Czesławy Długoszek, o której wyrażała się zawsze pochlebnie i z uznaniem. W czasie jazdy rozglądała się nieustannie wynajdując za oknami samochodu krajobrazy godne uwiecznienia. Zawsze inspirowała ją przyroda. Pochodziła z rodziny ogrodników:

*„urodziłam się w czar-ogrodzie
ogrodzie jak z bajki
a mój tata ogrodnik
wyczarował mnie z niezapominajki”*

Kiedy w centrum Bytowa niszczone park uśmiercając dziesiątki drzew, krzewów róż i żywopłotów, powiedziała: „będą się za to smażyć w piekle”... Gdy kiedyś wjechaliśmy między pola kwitnącego rzepaku, poprosiła: „zatrzymaj się - chcę powdychać tym miodowym zapachem, nie zamykaj drzwi, otwórz okna, niech zapach wypełni to twoje pudełko”. A potem, ku mojemu zdumieniu, zapaliła papierosa! Nie wytrzymałam: - Wanda - przestań palić te pieprzone papierochy! Popatrzyła na mnie z wyrzutem i zadeptała niedopałek. Podczas jazdy często telefonowała do domu. Martwiła się o zdrowie męża leczącego schorowane serce. Kiedy dojeżdżaliśmy do Słupska, meldowała: „wracamy tak jak zawsze, nie zapomnij o lekach”. Potem zaczęła się pasjonująca opowieść o sztuce gotowania potraw. Znała różne przepisy kuchni lwowskiej, ziołowe przyprawy, warzywa i owoce informując, które z dań lubi najbardziej mąż. Wychwalała go, jakie wspaniałe robi nalewki: „jak przyjdiesz, to dam ci spróbować z każdej po kieliszku, a mamy tych nalewek z dziesięć rodzajów!” I tak przebiegała nam ta podróż. Bez względu na porę roku docieraliśmy na spotkania z poezją głodni tych rozmów, żartów i plotek, przywożąc swoje dzieła do oceny przyjaciółom, na których czekaliśmy cały miesiąc.

Wanda Majewicz-Kulon, znana bytowiakom poetka - Kaszubka ze Lwowa uwielbiała spotkania z dziećmi. Zapraszana do szkół czytała im swoje bajki, opowiadała o swoim dzieciństwie i początkach pisania. Była honorowym członkiem Stowarzyszenia Przyjaciół Szkół „Zawsze Razem”, działającym przy Szkole Nr. 5 w Bytowie. Niecierpliwie czekała na coroczny wyjazd do Niepogledzia. W szkole wiejskiej zawsze przydzielano jej grupę najmłodszych, z którymi znajdowała szybko wspólny język. Pisała dużo i pięknie. Na spotkania do Biblioteki Miejskiej w Bytowie przychodziło zawsze wielu miłośników Jej romantycznej poezji. W bytowskiej grupie literatów „WERS” była naszym dobrym duchem. Na comiesięcznych spotkaniach czytała swoje wiersze jak zawsze przejęta i stremowana: „nigdy mi chyba nie minie ta cholerna trema” - mruzczała pod nosem. Wtedy pocieszałem ją mówiąc: - Wandziu, trema to oznaka szacunku dla dzieła, które tworzy poeta, więc się nie przejmuj.

Zawsze marzyła, by napisać tekst do piosenki. - Zobaczysz, że prędzej czy później ktoś pozna się na Twoich tekstach i usłyszysz swoją piosenkę. I tak się stało. Podczas spotkania w Niepogledziu Jej ulubiona piosenkarka Ania Poźlewicz zaśpiewała piękny tekst Wandy, spełniając marzenie autorki, o czym mówiła potem wielokrotnie z widoczną dumą.

Po raz pierwszy Wanda nie pojechała z nami na spotkanie do Słupska. Wiedziałem już, że jest chora. Zadzwoiła do mnie, że źle się czuje i zrobi sobie dłuższą przerwę, właśnie ze względu na zdrowie. Po przyjeździe odwiedziłem ją, przekazując życzenia powrotu do zdrowia od koleżanek i kolegów ze słupskiej grupy. Była mizerna i smutna, ale nie narzekała. „Zobacz - włosy już mi odrastają! Jest poprawa i wszystko wróci do normy, bo już nie palę!” Po chwili dodała: „a takie miałam fajne włosy.”

Pamiętam, gdy w miesiąc po śmierci Jana Wanago wracaliśmy do Bytowa ze spotkania w Słupsku, Wanda była w kiepskim nastroju. W pewnej chwili nagle powiedziała: „ciekawie, które z nas będzie następnym w kolejce”... Czasem zadrościłem Jej tej życiowej logiki przemijania i spokoju, z jakim mówiła: „kiedy nadchodzą mnie czarne myśli, jednocześnie nawiądzam mi natchnienie i chęć pisania o człowieczym losie:

*„czy warto gnać aż pot leci z czoła
powoli idąc do kresu dojsz zdola
troski zmartwienia zawiesi na kołku
głowę położy na piasku w dołku
i tak jak powstał znów się zamieni
w mały pyłeczek z prochu ziemi.”*

Wacek Pomorski zadzwonił do mnie we środę: „przyjdź szybko do Wandy. Ona umarła”. Żegnałem się z Nią w dwie godziny po śmierci, nie mogąc uwierzyć, że nie ma już Wandy... Pogrzeb odbył się w piątek, trzynastego czerwca w strugach smutnego deszczu. Jej wiersze można odnaleźć w kilkunastu almanachach i ośmiu tomikach poezji dostępnych w bibliotekach publicznych i szkolnych.

Andrzej Szczepanik, Bytów

Wandę poznałam podczas spotkań Grupy „Wtorkowe Spotkania Literackie” w słupskim starostwie. Przyjechała z grupą bytowskich poetów. Pełna energii i ciepła. Z serdecznością poznawała innych i z niepewnością dziecięcych obaw prezentowała swoje wiersze. To dzięki Niej trafiłam do Bytowskiego Klubu Literackiego „Wers”. Spotykałyśmy się u Niej w domu, gdzie witały mnie szczekania psów oraz ogromne zbiory antycznych obrazów, zegarów i mebli. Niesamowity klimat potrafił wyciszyć miejski hałas wdzierający się w otwarte okna. Bardzo kochała rośliny, kwiaty, drzewa. Zapraszała na herbatkę do ogrodu, gdzie prócz nas śpiewnie gawędziły ptaszęta, wczasujące na okazałych świerkach.

Miałyśmy wspólne, bądź bardzo podobne plany literackie. Pamiętam Jej debiut i lawinę spotkań wśród dzieci. W bytowskich szkołach, to Jej wiersze zakwitały kwieciami dziecięcych recytacji. Prawa ręka szefa bytowskiego klubu, pana Wacława Pomorskiego. Motorek spotkań i wszelkich działań z tym związanych... Zawsze uśmiechnięta i chętna do współpracy. W moich książkach dla dzieci są Jej wiersze, które jako jedna z pierwszych miałam okazję oceniać. Miałyśmy podobne spojrzenie na dziecięce pragnienia. Jeszcze kilka lat temu, wspominając czas młodości, chętnie dzieliła się spostrzeżeniami, udzielając cennych wskazówek młodszej od siebie koleżance, podobnie „zakręconej” jak Ona. Od niedawna zaczęła się spieszyć, wydając tomiki wierszy, jeden za drugim. Z radością dzieliła się każdym zamieszczonym w prasie wierszem, artykułem, mówiąc: „Dobrze, że drukują. Znaczą, że żyję. Ale muszę się spieszyć.” Odpowiadałam, że jest jeszcze młoda, pełną zapału, że jeszcze dużo napisze. Uśmiechała się kręcąc przeczącą głową.

Aldona M. Peplińska, Motarzyno

WANDA MAJEWICZ-KULON, ur. w 1943 r. na Kresach Wschodnich, od 1945 mieszkała w Bytowie. Od wielu lat należała do Klubu Literackiego „Wers” przy Bytowskim Centrum Kultury, autorka m.in. tomików wierszy. „Słońcem zrodzone” (2008), „Tęczowa wyliczanka” (2009), „Szept serca” (2010), „Musztarda po herbacie” (2010), „Tęczowa wyliczanka” - II wydanie (2011), „Musztarda po herbacie” - II wydanie zmienione i poszerzone (2012), „W zwierciadle pamięci” (2012.), „Tęczowa wyliczanka” - III wydanie (2013). Od kilku lat współpracowała też ze słupską Grupą „Wtorkowe Spotkania Literackie” i zamieszczała swoje wiersze w antologiach drukowanych przez słupskie starostwo, a także we „Wsi Tworzącej”.

Jej śmierć to duża strata dla pomorskiej kultury. Będzie nam Pani Wandy bardzo w Słupsku brakować! (Z)